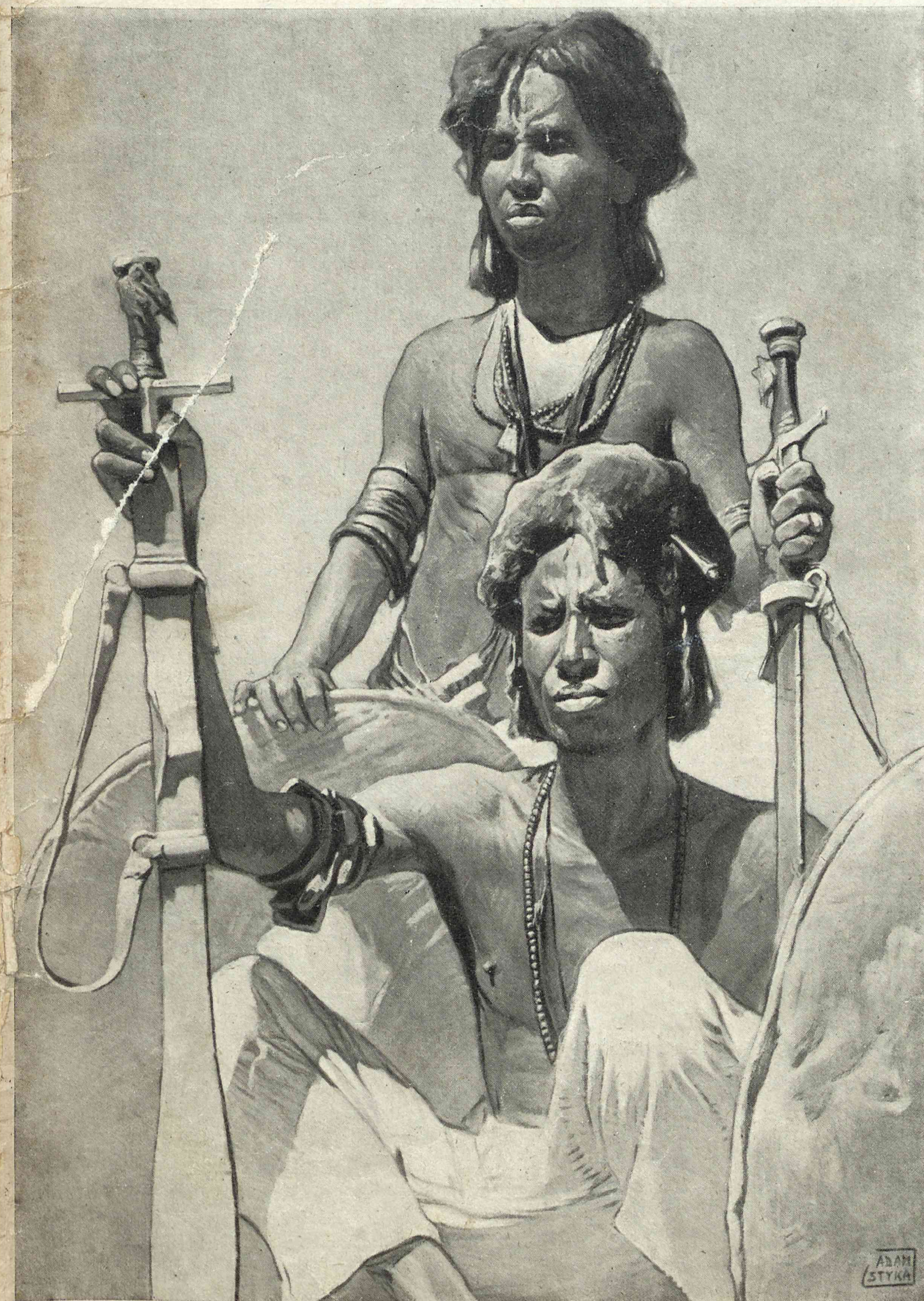
ŚWIAT 1 ZŁ
Nr. 18. DNIA 6 MAJA 1933 ROKU



ADAM STYKA BISZARENI (szczep w Górnym Egipcie)

TREŚĆ:

Z DAWNYCH RYSUNKÓW FRANC. KOSTRZEWSKIEGO



ROZMOWA MAŁŻEŃSKA

— Czegoś ty ciągle taka zła?... Widocznie mnie niecierpisz!

— Ale gdzież tam... Ja bym ci chciała nieba przychylić!!

— W to to wierzę... i to jaknajprędzej!!



NA WSI

— Słuchajno Wojtek — późno się robi, pachciarz z miasteczka jakoś nie wraca — idź ty za ogród na drogę i zobacz, czy go nie widać.

— Kiedy ja się boję...

— Wstydź się, jakiem był młody, tom się nie bał!

— Wielka sztuka — wtenczas nie było się kogój bać!!!

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 6-go MAJA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 18 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Nowe niebezpieczeństwa

Na tle kilku ostatnio toczących się procesów, o których prasa podawała wyczerpujące sprawozdania, powstało w opinji publicznej silne zaniepokojenie z powodu nadużyć w różnych dziedzinach administracji państwowej. Istotnie, ujawnione fakty były bardzo jaskrawe: pewien młody oficer popełniał systematycznie malwersacje przy sennej tolerancji bezpośrednich przełożonych; inspektor straży celnej stał na czele bandy przemytników; grupa aferzystów z pod ciemnej gwiazdy otrzymywała od władz państwowych miljonowe zamówienia na budowę gmachów rządowych — że wymienimy tylko trzy najgłośniejsze sprawy ostatniego miesiąca.

Fakty niewątpliwie bolesne. Ale czyż tego rodzaju nadużycia nie zdarzają się we wszystkich państwach i we wszystkich czasach? A już najmniej powinniśmy się przejmować skandalami gdyńskiemi. Port i miasto Gdynię budowano pośpiesznie, po amerykańsku. Nie było czasu na dobieranie ludzi pewnych, solidnych, nieskazitelnych. Ci są zwykle nieruchliwi. Namyślają się długo, niechętnie osiedlają się w nowem miejscu, nie są skłonni do podejmowania przedsięwzięć niepewnych. Gdynia z natury rzeczy przyciągała obieżyświatów, ryzykantów, awanturników, element mało skrupulatny, zato obrotny i przedsiębiorczy. Zjawisko to występuje przy wszelkiego rodzaju gigantycznych zamierzeniach. Genjalny Lesseps uwikłał się w fatalne sprawy, a największe jego dzieło—Panama—stało się synonimem nadużyć na wielką skalę.

Nie powinniśmy więc zbytnio martwić się odsłoniętemi przez ostatnie procesy brudami. Już sam fakt, że je wyciągnięto na światło dzienne, a sprawców ich poddano sądom i karze — stanowi objaw pocieszający. Groźne są nadużycia niewykryte, nietępione, niewywołujące reakcji społecznej czy rządowej, takie, które stają się zjawiskiem powszedniem, nikogo nierażącem, niejako usankcjonowanem.

Dopiero one zakażają moralność publiczną i stanowią poważne niebezpieczeństwo społeczne, zyskują bowiem sobie prawo obywatelstwa, wpływają na obyczajowość, decydują o poziomie etycznym narodu.

Dwie takie choroby szczególnie silnie zaatakowały nasz organizm państwowy: łapownictwo — od dołu, synekury — od góry.

To, co my pogardliwie nazywamy łapówką, było kiedyś normalną i legalną formą wynagradzania funkcjonarjusza państwowego za załatwienie sprawy w urzędzie; było tak samo uprawnione, jak zostawianie napiwków kelnerowi w czasach, gdy nie otrzymywał pensji od właściciela cukierni. Taki indywidualny datek dla urzędnika za wykonaną pracę nabrał cech niemoralnych dopiero wtedy, gdy administrację państwową zaczęto płacić z funduszów publicznych. Póki ta zapłata jest dostateczna, łapownictwo występuje sporadycznie, jako przestępstwo jednostek o wyjątkowo niskiem poczuciu etycznem. Z chwilą jednak, gdy płace urzędnicze spadają poniżej minimum egzystencji, datki od interesantów stają się niezbędnem uzupełnieniem oficjalnych zarobków, znajdują usprawiedliwienie zarów-

no w oczach biorącego, jak i dającego łapówkę, administracja państwowa cofa się do prymitywów, o których mówiliśmy poprzednio. Ale skryty, nielegalny sposób pobierania tej zapłaty ma wpływ demoralizujący na obie strony: już tylko od wysokości datku zależy korzystniejsze dla osoby zainteresowanej załatwienie sprawy, chociażby na szkodę dobra publicznego.

Na terenie b. zaboru rosyjskiego łapownictwo ma przygotowany grunt długoletnią praktyką urzędników carskich, z którymi dojrzałe dzisiaj i aktywnie pracujące pokolenie miało jeszcze do czynienia. Tylko lepsze i bardziej uświadomione jednostki zdają sobie sprawę z różnicy między zaborczą a własną administracją i nie dopuszczają myśli przekupywania polskich funkcjonarjuszy państwowych. Dla ludzi jednak niewybrednych w doborze środków, a zwłaszcza dla masy żydowskiej, czującej się równie obco wobec urzędnika polskiego, jak się czuła wobec rosyjskiego, kancelista pozostał kancelistą, policjant — policjantem, celnik — celnikiem.

Lepiej te sprawy przedstawiały się w zaborze austrjackim, choć i tam zdarzały się kubany — jako wyjątek coprawda, nie jako zasada. Najmniej przyzwyczajony był do przekupstwa zabór pruski.

Dzisiaj — przy znacznie posuniętej unifikacji dzielnic i wewnętrznej migracji, — zaraza łapownictwa nie ominęła żadnej prowincji, chociaż Wschód wciąż góruje pod tym względem nad Zachodem. Trzeba stwierdzić, że nie sięga ona szczytów hierarchji urzędniczej, rzadko dochodzi do środkowych szczebli i grasuje przeważnie u dołu drabiny administracyjnej. Podkreślić nawet należy niezwykle wysoki poziom moralny naszych wyższych urzędników, a także niektórych całych dykasteryj, jak sędziowie, nauczyciele i t. p., którzy mimo mizernych płac z godnością i stoicyzmem reprezentują swój stan. Ale są pewne funkcje państwowe, których wykonawcy, posiadając wpływ na materjalne korzyści publiczności, mając prawo nakładania kar i przyznawania ulg, narażeni są na specjalne niebezpieczeństwa i pokusy. Tutaj odpowiedni dobór ludzi, ścisła kontrola, a przedewszystkiem należyte uposażenie — może jedynie zapobiec temu nieszczęściu społecznemu, które się nazywa skorumpowaniem administracji.

Wiemy, ile państw jemu uległo, ile wskutek niego osłabło, albo i zupełnie upadło — musimy więc dołożyć wszelkich starań, aby Rzeczpospolitą naszą od niego ustrzec i oczyścić.

Niebezpieczniejszą i szkodliwszą odmianą łapówki jest synekura. Ta nie atakuje nizin administracyjnych, gdzie zakres władzy jest wązki, interesy drobne, uchybienia małego znaczenia; sięga ona ku wyżynom, decydującym o rzeczach ważnych, mających wpływ na ogólną politykę państwa.

Synekurzystą nie jest urzędnik państwowy. Nawet dygnitarze mają u nas tak skromne pensje, że nikt im zazdrościć nie może. Dyrektorzy departamentów, prezesi sądów, kuratorzy okręgów szkolnych, wojewodowie, naczelnicy innych urzędów znajdują się nieraz wprost w biedzie. Może jedynie wyżsi wojskowi, dyplomaci, będący na placówkach zagranicznych i skarbowcy, delegowani do rad nadzorczych, do zarządów czy komisyj rewizyjnych przedsiębiorstw państwowych, — są dostatecznie sytuowani. Tych ostatnich — o ile skupiają w swych rękach zbyt wiele takich delegacji — zaliczają już nieraz do synekurzystów.

Ale prawdziwa synekura zaczyna się dopiero poza urzędem, po porzuceniu służby państwowej. Dla przekonania się o tem dość pojechać do Katowic i przejść się po kurytarzach koncernów przemysłowych, konwencji węglowych, po różnych związkach, dyrekcjach, „wspólnotach interesów". Na wszystkich drzwiach można wyczytać znane nazwiska byłych ministrów, wiceministrów i dyrektorów departamentów, oddających nie swą wiedzę zawodową, lecz znajomość tajników administracyjnych i stosunki w urzędach na usługi przedsiębiorstw prywatnych. Obliczono, że 35 b. ministrów i wiceministrów zatrudnionych jest w przemyśle górnośląskim.

Czasem przejście z biura państwowego do biurka funkcjonarjusza potentatów węglowych przybiera formy wprost nieprzyzwoite. Ktoś do końca marca zatwierdzał taksy, opłaty, cła czy premje wywozowe, w imieniu państwa decydował o sprawach, wpływających na wysokość zarobku danej kategorji przedsiębiorstw, a 1-go kwietnia już był na służbie u tych przedsiębiorstw. Budzi się mimowolne podejrzenie, czy otrzymane stanowisko nie było zapłatą za nadmierną przychylność w traktowaniu interesów prywatnych kosztem dobra państwa i czy emerytowany dygnitarz nie był na służbie u danego konsorcjum będąc jeszcze urzędnikiem państwowym?

Są i inne rodzaje synekur. W przedwojennym Petersburgu znany był typ „chadataja po diełam" — jegomościa, który dzięki stosunkom towarzyskim czy politycznym miał wstęp do wszystkich urzędów i możność pomyślnego lub szybkiego załatwiania tam interesów prywatnych. Typ ten krzewi się, niestety, na naszym gruncie. Zwłaszcza niektórzy adwokaci, poświęcający się jednocześnie polityce, piastujący nawet mandaty poselskie, zatracają nieraz poczucie, gdzie się kończą uprawnienia doradcy prawnego a zaczynają obowiązki przedstawiciela ludu. Te dwie funkcje tak się stapiają w jednej osobie fizycznej, że dopiero sądy marszałkowskie czy koleżeńskie muszą przeprowadzać rozgraniczenie.

Każda instytucja społeczna, każde przedsiębiorstwo zarobkowe, każda spółka prywatna, będąca w stosunkach lub w zależności od rządu — (a któraż w tem czy w innem od niego nie zależy?) — narażona jest na opłacanie się, na utrzymywanie synekurzystów. Zjawisko to przybiera już epidemiczne rozmiary. Najuczciwsi ludzie, mając najczystszą sprawę do przeprowadzenia, wypytują, przez kogo możnaby to załatwić i ileby to kosztowało.

Honorarja adwokackie za obniżenie podatków, za wyrobienie kontyngentów czy koncesji, za prowadzenie spraw upadłościowych — sięgają niesłychanych sum. Sprawy te znane są ogólnie. Doszło do tego, że dzisiaj wierzyciele boją się, jak ognia, ogłoszenia upadłości, gdyż w takich wypadkach dłużnikowi wszystko się zabiera, ale i wierzyciele nic nie otrzymują: wszystko idzie dla syndyków i zarządców przymusowych. Kwestja ta przybrała takie rozmiary, że powstała konieczność ustawowego uregulowania należnego adwokatowi wynagrodzenia.

Na tle ogólnego zbiednienia, obniżenia wszystkich zarobków i kontentowania się małem wybujałe apetyty synekurzystów tembardziej rażą. Stają się oni już nietylko zakałą moralną, ale dodatkowym czynnikiem potęgowania kryzysu, zubożenia i zastoju.

Walkę z synekurami należy podjąć w imię zdrowia moralnego narodu i państwa, a także w imię uwolnienia kraju od najcięższych świadczeń, paraliżujących życie gospodarcze, świadczeń antyspołecznych i antypaństwowych.

W. Giełżyński

Premjer angielski MacDonald i jego córka Izabella żegnają się z Ameryką, porzucając port New Yorku

Fot. Assoc Pres.



Panna MacDonald zapamiętale robiła w podróży zdjęcia, ale nie miała czasu ich wywoływać



Pierwsza amerykańska ambasadorka Ruth Bryan Owen składa przysięgę służbową przed udaniem się na placówkę do Kopenhagi

Przed wyborami Prezydenta

Życie codzienne Pierwszego Obywatela Rzplitej

Za kilka dni Zgromadzenie Narodowe ma przystąpić do najważniejszego aktu państwowego: wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej. W takim momencie chcemy przedstawić czytelnikom, jak uciążliwe jest to zaszczytne stanowisko bez względu na indywidualne właściwości elekta, ujawnione w wykonywaniu wysokiego urzędu.

Pierwszym prezydentem Rzeczypospolitej z tytułem Naczelnika Państwa był właściwie marszałek Piłsudski. Jemu też przypadło w udziale kłaść podwaliny pod formy i metody sprawowania zwierzchniej władzy państwowej w Polsce. Ale Pan Marszałek był jednocześnie wodzem naczelnym podczas toczącej się wojny. Z natury rzeczy musiał więc obowiązkom wojskowym poświęcać więcej czasu i pracy, na drugi plan odsuwając czynności Głowy Państwa. Tylko w chwilach krytycznych, podczas przesileń gabinetowych, wobec trudności zewnętrznych, w obliczu ważnych decyzji politycznych zajmował się energicznie temi sprawami, modelując je według swej silnej woli.

Obrany konstytucyjnie na pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej, ś. p. Gabrjel Narutowicz padł ofiarą zbrodni w parę dni po obiorze. Dopiero więc prezydent Wojciechowski zainaugurował tryb życia piastuna najwyższej władzy w Polsce.

Chociaż był on poprzednio ministrem spraw wewnętrznych, zachował na codzień przyzwyczajenia i skalę potrzeb skromnego pracownika umysłowego. O siódmej rano siadał z dziećmi do śniadania, sam przeglądał pisma, samotnie spacerował po parku belwederskim, obiad z trzech dań spożywał w gronie rodziny i 2—3 najbliższych współpracowników, pracował po 8 godzin dziennie, konferując, udzielając audjencji, studjując przedstawiane mu do podpisu akta, zapoznając się z bieżącemi sprawami państwowemi. Wieczorem o godz. 8-ej była kolacja — jak w przeciętnym domu niezamożnego inteligenta: zsiadłe mleko z kartoflami, pierożki leniwe, rzadko gorące mięso, chyba wtedy, gdy byli goście, t. j. partnerzy do bridża.

Przez parę sezonów zimowych odbywały się liczniejsze zebrania towarzyskie co czwartek; przyjęcie było skromne — czarna kawa, herbata, tort. Zato uczta duchowa wynagradzała wszystko: grali, śpiewali, deklamowali pierwszorzędni artyści. Prezydent tak się kochał w aktorach, że nietylko hojnie wyposażał z własnych funduszów „Redutę", ale cały ten zespół zapraszał na lato do Spały. Nie opuścił żadnej wartościowej sztuki, żadnego jubileuszowego przedstawienia, żadnej okazji zbliżenia się do świata artystycznego.



Ignacy Mościcki, Prezydent Rzplitej

Miał też drugą jeszcze namiętność — polowanie. Nie wielkie łowy na grubego zwierza, lecz zwykłą przechadzkę z flintą po pięknych lasach spalskich. Spędzał w nich nieraz kilka godzin tylko w towarzystwie strzelca. Ale wywczasy w tej rezydencji letniej nie zdarzały się często: zjeżdżano tam z okazji świąt, imienin, podczas jakiegoś zacisza politycznego.

W Spale tryb życia także był krańcowo skromny. Żadnych przyjęć wystawnych, żadnych zabaw; książka naukowa, najczęściej z dziedziny ekonomiki lub prawa konstytucyjnego, bridż rodzinny, bilard, strzelba — oto jedyne rozrywki.

W pierwszych miesiącach urzędowania ta prostota życia dochodziła nawet do przesady. Prezydent oświadczył, że nie przywdzieje nigdy fraka, ani nie wpuści butelki alkoholu do Belwederu. Trzeba było długich molestowań i tłumaczeń, aby przekonać, że frak jest koniecznem ubraniem w pewnych okolicznościach cywilizowanego życia, a wino niezbędnym uczestnikiem biesiad towarzyskich. Z czasem oba uprzedzenia znikły...

Gdy siedzibę Głowy Państwa przeniesiono z położonego na krańcach miasta pałacyku do zamku królewskiego — tryb życia prezydenta musiał się zmienić. Bezpośrednie sąsiedztwo wspaniałych sal reprezentacyjnych zmusiło do przystosowania w pewnym stopniu do nich apartamentów prywatnych. Trzeba było więcej służby, okazalszych mebli i dywanów, innego rozlokowania pomieszczeń.

Zresztą państwo Mościccy, przebywając długo zagranicą, obracając się stale w zamożnem środowisku profesorów, dyrektorów fabryk, przemysłowców, oswojeni byli z wyższą skalą potrzeb życiowych. Nie było tam zbytków, ani luksusu; w porównaniu ze stosunkami, panującemi w domach prezydentów innych, starszych republik, uderzała prostota i skromność, ale bądź co bądź fraka nie uważano za wymysł zboczeńców arystokratycznych, a wina i innych spirytualji nie traktowano, jako przyczyny ruiny rodzin i społeczeństw.

Na Zamku można było zauważyć dobrobyt, choć daleki od zbytków. Początkowo odbywały się dość częste i niezwykle tłumne rauty — jakżeż nie pokazać swoim i obcym przepychu komnat królewskich i zgromadzonych tam dowodów starej naszej kultury! Obecnie, z powodu ciężkich czasów, zastąpiono je skromnemi herbatkami. P. Prezydent ma na nich możność zetknięcia się z szerokiemi sferami społeczeństwa, ze światem nauki, sztuki, polityki, gospodarstwa krajowego. Parominutowa rozmowa pozwala mu sprawdzić słuszność doniesień prasowych i opracowań książkowych.

Gruntowniejsze wiadomości zdobywa p. Prezydent na audjencjach specjalnych i konferencjach, zwoływanych w ważnych sprawach. Ileż to organizacji gospodarczych i stowarzyszeń społecznych wysyła delegacje celem przedstawienia Głowie Państwa swych bolączek i dezyderatów? Ilu kierowników urzędów i przedsiębiorstw państwowych składa mu raporty? Ilu posłów polskich przy obcych rządach, bawiąc w Warszawie, śpieszy poinformować go o sprawach krajów, do

których są wysłani. Dziesiątki, jeśli nie setki ludzi przewijają się codziennie przez gabinety P. Prezydenta, a każdemu potrafi on powiedzieć słowo zachęty i otuchy, opromienione uśmiechem.

Te rozmowy — to ciężka praca, w której umysł bierze taki sam udział, jak wola, nieustannie panująca nad objawami zmęczenia, znudzenia czy zdenerwowania.

To też Prezydent musi szukać wytchnienia od czynności urzędowych i reprezentacyjnych. Nie może w każdej chwili wyjść chociażby do parku, odetchnąć świeżem powietrzem, wygrzać się na słońcu, jak to było w Belwederze. Wiszące ogrody zamkowe są zimne i sztywne; dochodzi do nich zgiełk i kurz uliczny. Trzeba więc uciekać do Spały, choć raz na tydzień — na niedzielę; trzeba przewietrzyć się na przejażdżce konnej, trzeba doznać nowych wrażeń na polowaniu w Białowieży czy w Karpatach; trzeba co jakiś czas nasycić oczy pięknym widokiem, roztaczającym się z zameczku u źródeł Wisły, albo odpocząć w Ciechocinku czy w Zakopanem. Krótkie to są przerwy w jednostajnym pobycie wśród murów zamkowych.

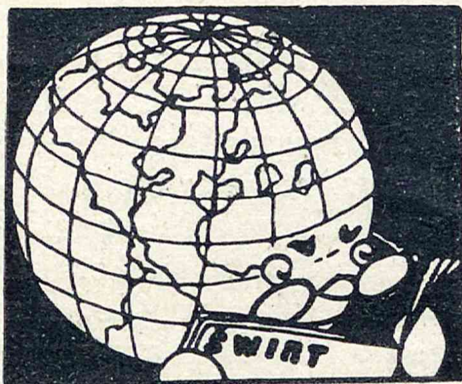
Ale i w Warszawie ma Prezydent Mościcki chwile radości — to wyjazdy do Instytutu Chemicznego, gdzie może prowadzić badania z zakresu swej specjalności, odetchnąć wśród młodszych kolegów atmosferą naukową, zapomnieć o etykiecie, polityce, o ciężarze władzy państwowej.

W pierwszych czasach urzędowania chciał P. Prezydent Mościcki tę strefę wolności osobistej rozszerzyć. Myślał, że będzie mógł niepostrzeżenie chodzić po ulicy, wśród tłumu, niewidoczny, niepoznany. Poszedł nawet raz z adjutantem do restauracji, aby spożyć zwykły, burżuazyjny posiłek. Nie udało się! Goście poznali go, powstali z miejsc, urządzili owację. Incognito zawiodło. Trzeba było wyrzec się prawa do uważania się za zwykłego człowieka. Trzeba było, jak „więzień Watykanu", pozostać niewolnikiem wysokiej godności.

Za parę dni niewola się kończy. Upływa siedmioletnia kadencja Prezydenta.

Kto odziedziczy po nim to zaszczytne ale i ciężkie brzemię reprezentowania suwerenności narodu, czy spadnie ono ponownie na Niego, czy też pozwoli powrócić Mu do warsztatu pracy naukowej?

B. Żarski



TYDZIEŃ ŚWIATA

Tydzień trzeciomajowy

(R.). Jak od kilkunastu lat, w dniu 3-im Maja ukazali się na ulicach naszych miast i miasteczek liczni kwestarze, a na murach objaśniające plakaty: zbiórka na Dar Narodowy dla Macierzy Szkolnej.

Sypią się do puszek srebrne i miedziane monety. Każdy Polak czuje się w obowiązku dać, ile może. Ofiara na oświatę jest bowiem najlepszym sposobem uczczenia Święta Narodowego. Kto ją złoży, może z czystem sumieniem zaniechać obnoszenia sztandarów i śpiewania pieśni patrjotycznych.

Na terenie 8 województw, niegdyś znajdujących się pod zaborem rosyjskim, działa 240 kół Polskiej Macierzy Szkolnej, 439 czytelń i świetlic, 24 ogniska młodzieży, 112 szkół powszechnych, zawodowych i średnich, 28 burs, 40 ochron, 797 bibljotek, 55 kursów; w ciągu roku ubiegłego 145.897 osób wysłuchało 2349 wykładów, zorganizowanych przez Macierz.

Pokrzepiająca statystyka. Wyjmij swój grosik: przyczyni się on do powiększenia jednej z tych radosnych cyfr. Zbiórka trwa tylko tydzień.

Apetyty pruskie



Pod Piłą, tuż przy granicy polskiej, Niemcy wystawili rodzaj pomnika, będącego dowodem ich niepohamowanych instynktów zaborczych. Wymieniają na nim nazwy miast, które chcą ponownie zagarnąć: Gdańsk, Grudziądz, Chełmno, Toruń, Tczew, Starogard, Poznań, Bydgoszcz, Gniezno, Chodzież, Rawicz, Inowrocław, Leszno. Słup ten w dniach uroczystości nacjonalistycznych zdobiony jest kwiatami i zielenią.

Pracy, pokoju, wolności!...

(gs.). Jakimż wielkim ewolucjom uległ ruch socjalistyczny za naszej już pamięci, od lat 30 — 40.

Ongiś odezwy i plakaty przed 1-ym maja grzmiały rok rocznie tak światoburczo, rewolucyjnie, że aż ciarki człowieka przechodziły: „Preczom" nie było końca. Wyraz „krew" powtarzał się wielokrotnie. Nienawiść aż ziała z afiszów.

A wogóle — hasłami były: — strajki, walka na życie i śmierć, barykady, dyktatura proletarjatu, hańba tym, hańba tamtym—ogromnie trudno było się zgodzić z tem nawet wówczas, gdy się odczuwało wiele sympatji dla ludu roboczego, gdy się rozumiało wielką niesprawiedliwość ustrojową, gdy się dążyło również do tego, by wszystkim było lepiej, szczególniej tym, którym jest tak bardzo źle.

A dziś! Dziś czytamy na plakatach pierwszomajowych: „Pracy, Pokoju, Wolności!"

Któżby się z tem nie zgodził! I po co podpisywać — P. P. S.? Czy nie wystarczy P. S.: Polskie Społeczeństwo, całe, integralne, od góry do dołu.

Pracy, pokoju, wolności!...

Brzmi to idylicznie... Ale tylko dźwiękowo...

Bo w istocie — treść jest tragiczna. Jest to właściwie krzyk boleśniejszy od dawnych, bo — niestety — szczerszy i prawdziwszy.

Ale nie wyłącznie partyjny. To krzyk całego narodu, więcej — krzyk całego świata.

Propaganda czynem

(Wig.) Powstała u nas obecnie i przez niektóre pisma gorąco jest popierana myśl utworzenia ministerstwa propagandy. Takie mini-

sterstwo powołano do życia w Niemczech. Więc widać jest potrzebne! Przecież tak bardzo przyzwyczailiśmy się do naśladowania sąsiadów zachodnich. Nie możemy zresztą znaleźć się w gorszem od nich położeniu, wyrzec oręża, którym oni będą walczyć — z nami przedewszystkiem. A nadto, czyż nie potrzebujemy bardziej od Niemców uświadomienia własnego narodu — o naszych celach państwowych i środkach? — Oto teoretyczne uzasadnianie projektu.

A jednocześnie rozchodzi się wieść, że z dn. 1 lipca r. b. będzie zwinięta nowojorska ekspozytura PAT-a. Wiadomości z Polski do Ameryki, — do miljonowego naszego wychodźtwa i do ludności całej tej części świata — nadsyłać będą tylko obce agencje: amerykańskie, angielskie, francuskie, a głównie — niemieckie.

Powodem zwinięcia filji w New-Jorku jest jej deficyt. PAT nie chce go pokrywać, bo jest „przedsiębiorstwem samowystarczalnem, prowadzonem na zasadach handlowych", M. S. Z. też nie chce, bo nie ma pieniędzy.

Jakże więc ma działać projektowane ministerstwo propagandy bez pieniędzy? Jeśli zaś znajdą się pieniądze, to przedewszystkiem powinny być użyte na elementarne cele informacyjne dla zagranicy i na zatrudnienie bezrobotnych przy robotach publicznych w kraju.

Osuszenie Polesia, wybudowanie kanału Warta — Wisła, ulepszenie komunikacji tramwajowej w stolicy, a choćby wybrukowanie ulicy Krasińskiego na Żoliborzu lepszą może robić propagandę, niż sto artykułów, tysiąc mówek radjowych i miljon pocztówek z podobizną ministrów.

Niesłychana książka

(sg) „Let the day perish" („Niech zginie dzień") — oto książka, którą wydał po angielsku p. Saul Padover, a o której recenzję pod tytułem „Żydzi w Polsce" umieszcza londyńska „Sunday Times". Według dopisku wydawcy, książka jest wynikiem osobistych obserwacyj autora. Widać, że autor płodu swojej fantazji nie umie odróżnić od rzeczywistości. Ale takie „fantazje", rozsiewane zagranicą, szkodzą Polsce, a nie pomagają z pewnością żydom polskim, którzy w chwili obecnej zdobędą się chyba na należną odprawę paszkwilantowi Polski, a swemu niepowołanemu obrońcy.

Według p. Padowera, „w Polsce a raczej w jej części, będącej dawniej pod panowaniem austryjackiem, po zjawieniu się najeźdźców rosyjskich rozpoczęła się era pogromów, które po wyparciu Rosjan przybrały olbrzymie rozmiary. Wszystkie warstwy społeczeństwa połączyły się w jednym wspólnym celu: zupełna eksterminacja żydów. Każde miasto w Polsce jest wyspą, na której szaleją rozpętane namiętności tłumu. Żydzi nie mogą podróżować; kopią ich, biją, ranią, zabijają, rabują, wyrywają im brody". — W tym stylu napisana jest cała książka, jedna tragiczna jeremiada nad losami zmaltretowanego narodu żydowskiego, „którego matki przytłumiają nawet w umyśle dzieci myśl o zemście, rzeczy odpowiedniej tylko dla chrześcijanina". W końcu bohater tej opowieści ucieka poprzez Niemcy do Ameryki. Przekroczywszy granicę, pozostawiwszy za sobą smutne, szare, opłakane polskie włości, znajduje się w kraju szczęśliwości i bojaźni Bożej, w Niemczech, gdzie nawet słońce inaczej świeci.

Ukazanie się tej książki w chwili obecnej jest dostateczną ilustracją orjentacji i prawdomówności autora. Ale jest rzeczą niesłychaną, że znajdują się w Anglji nakładcy drukujący takie brednie, i że pismo tej miary, co „Sunday Times", umieszcza o nich długą recenzję z jedynym komentarzem: „Mniej przyczyn do radości znalazłby autor w Niemczech dzisiejszych".

Jeszcze triumfy Mussoliniego

(bg) *Il Duce*, niby drugi Napoleon, na wszystko ma czas. Więc kazał sobie nadać przez radjo trzeci akt swojej sztuki „Sto dni", z takim tryumfalnym sukcesem wystawionej w wiedeńskim Burgu.

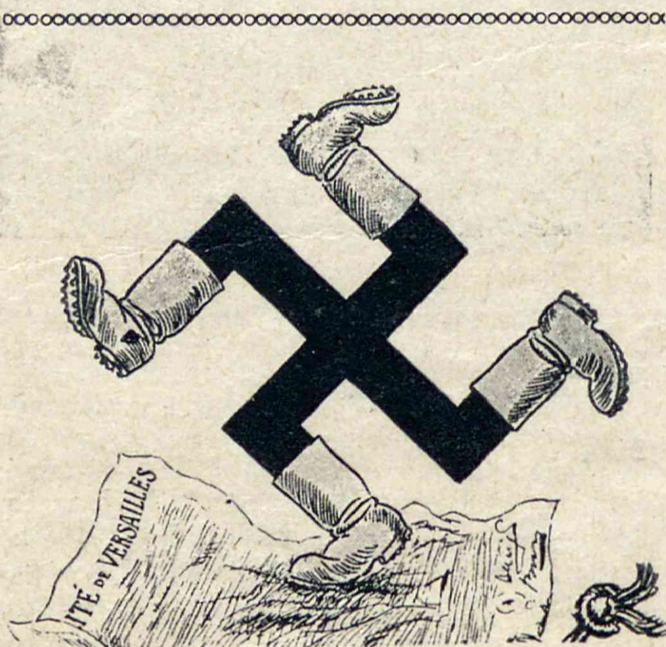
— *Bravi!* — wykrzyknął po wysłuchaniu, i rozkazał przyjacielowi i współautorowi Joachimowi Forzano natychmiast jechać do Wiednia z podziękowaniem, oraz z zaofiarowaniem tantjem (sztuka zdobyła olbrzymie powodzenie kasowe!) na rzecz bezrobotnych aktorów austrjackich.

Jednocześnie wysłał do dyrektora Burgu depeszę tej treści: „Proszę wyrazić podziękowanie artystom, publiczności wiedeńskiej, a także mojemu wiernemu Géza Herczegowi..."

„Mój wierny Herczeg" — to literat węgiersko-austrjacki, tłomacz „Stu dni" na języki węgierski i niemiecki. Niby ostatni Cesarz Austrji *Duce* ma już „swojego wiernego Węgra". Dowcip kawiarni wiedeńskiej w lot nadał zaszczyconemu tłomaczowi odgrzebany c. k. tytuł: *Grossherczeg...*

Podobno formuje się w Wiedniu specjalna trupa teatralna, która z udziałem artystów Burgu objeżdżać ma miasta i miasteczka Austrji oraz Węgier (mówi się nawet, że ma jechać i do Niemiec) ze sztuką Mussoliniego...

Słowem, przedwojenna austro-węgiersko-włosko-niemiecka *alleanza* odżywa *via* teatr...



Zamordowanie prezydenta Peru

(js) W dniu 30 kwietnia zamordowano w Limie, stolicy Peru, Prezydenta republiki Sanchez Cerro. Prez. Cerro objął władzę po dyktatorze Leguia, którego kilkuletnie rządy były wielkiem pasmem nieprawości, gwałtów i korupcji. Prez. Cerro starał się wprowadzić ład do chaosu, który odziedziczył po Leguia. W wysiłkach swoich napotykał opór kamarylli, dążąc do powrotu Leguia, i opór rewolucyjno-narodowej partji Apra, czyli Aprista.

W marcu roku ubiegłego dokonano już raz zamachu na prez. Cerro. Sprawcą był niejaki Juan Seuano, brat jednego z przywódców Apry. Wkrótce potem wybuchła rewolta na dwóch okrętach wojskowych — również, podobno, pod wpływem agitacji Apry.

Prez. Cerro jednak nie dał się steroryzować i przed kilkunastu dniami podpisał nową konstytucję, na której opracowanie poszło 16 miesięcy. Ten akt państwowy był bezpośrednim powodem ostatniego zamachu.

Apra — Association Popular Revolucionaria Americana — nie jest zwykłą mafją wojskową, lecz organizacją stawiającą sobie szersze zadania, aniżeli opanowanie władzy w kraju.



Prezydent Republiki Peruwiańskiej Sanchez Cerro podpisuje nową konstytucję. W parę tygodni później padł z ręki terorystów

Apra bowiem — to kierowniczka wielkiego ruchu, obejmującego cały kontynent Południowo-Amerykański, ruchu, stawiającego sobie za cel wyzwolenie społeczne i polityczne Ameryki Południowej i połączenie licznych jej republik w jedną federację, obejmującą cały kontynent.

Trzy są główne zadania Apry: złamanie potęgi starych hiszpańskich rodów ziemiańskich i podział olbrzymich ich włości między ubogą ludnością tubylczo-indyjską i mieszaną; podkopanie znaczenia kościoła katolickiego, do którego należą niezmierzone obszary i gromadzone od szeregu wieków bogactwa, wreszcie, najważniejsze, zlikwidowanie wpływów finansjery nowojorskiej, która trzyma w niewoli pieniężnej wszystkie republiki Ameryki Łacińskiej, zadłużone na setki miljonów dolarów.

Apra wzoruje się organizacyjnie na niemieckiej partji narodowo-socjalistycznej. Jej przywódca, Peruwiańczyk, Jose de la Torre, studjował nawet metody hitlerowskie podczas swego pobytu w Niemczech w ubiegłym roku.

Wielu członków Apry, m. in. de la Torre, wysłano z granic Peru. Znaleźli oni przeważnie przytułek w Kolumbji, która prowadzi z Peru wojnę o wioskę Letycję w dorzeczu Górnej Amazonki.

Nieprzyjemne nazwisko

Komunikują nam ze sfer dobrze poinformowanych, że bankier amerykański Harriman, mający sprawę o nadużycia, o czem donosiliśmy w poprzednim „Tygodniu Świata", nie ma nic wspólnego z firmą J. W. Harriman, działającą na naszym Górnym Śląsku, prócz wspólności nazwiska. Ale nazwisko to w świecie anglosaskim spotyka się bardzo często.

Brutalna reklama

(ivr.). W kilku kinach warszawskich wyświetlana jest obecnie reklama pasty do zębów „Kalodont". Przed oczyma publiczności przesuwa się naprzód szereg twarzy o zepsutych i spróchniałych zębach, potem widzimy gabinet dentystyczny z całą aparaturą tortur. Wreszcie zjawia się jakiś młodzieniec, któremu dentysta zakłada szczypce i wyciąga z jamy ustnej obrzydliwy, ropiejący ząb. Ta miła perspektywa ma czekać wszystkich, którzy nie używają pasty „Kalodont".

Reklama jest podstawą handlu, lecz i od niej wymaga się pewnego poziomu estetycznego. Każdy z bywających w kinie miał możność zetknąć się z zabiegami dentystycznemi i należą one do najprzykrzejszych wspomnień. Pokazywanie tych brutalnie przeszarżowanych operacji na ekranie wywołuje tylko obrzydzenie, a u wrażliwych widzów nawet pewnego rodzaju uczucie lęku, by wizja filmowa nie stała się rzeczywistością.

Nie przesądzając „zalet i właściwości" reklamowanej pasty, uważamy, że jej wytwórcy mogliby używać nie tak odrażających form propagandy.

Trzeci ze spółki: H—H—H

Jak kiedyś sławna trójca HKT (Hanneman, Kenneman i Tiedeman) uosobiała zaborczego ducha pruskiego, przyczyniając się więcej do zguby Niemiec, niż do ich wielkości, tak dziś znów nową epokę Reichu wprowadzają do historji również trzej mężowie: Hindenburg, Hitler i Hugenberg.

Pierwsi dwaj są już dość znani. Ale o trzecim mało się stosunkowo pisze, a tymczasem kto wie, czy nie jest to postać wśród trzech najważniejsza, choć działająca za kulisami, jak reżyser, którego widz teatralny nie widzi, ale czuje w każdym momencie rozgrywającego się dramatu, czy może tragi-komedji.

Hugenberg znany jest oddawna jako król prasy niemieckiej. Dziś jest kimś znacznie większym. Zasiada w gabinecie Hitlera, jako dyktator resortów gospodarczych, nadto jest szefem Deutsch-Nationale Volks-Partei.

Cała reakcja Niemiec uważa go za swego wodza, a sfery liberalne — za największego wroga. Ma w ręku prasę niemiecką, produkcję filmów, wielki przemysł i ruch monarchistyczny. Jest też potęgą w bankowości i w sferach rolniczych.

Hitler doszedł do władzy wielkiemi skokami, Hugenberg wolnym kroczkiem, ale pewniejszym. Hitler może przeminąć jak meteor, Hugenberg wydaje się być granitową kolumną w budowie nowych Niemiec.

Nie wygląda na wielkiego człowieka czynu. Raczej na dobrotliwego lekarza prowincjonalnego. Jest wesoły i chłodny, choć ma szalony temperament. Komuniści nazywają go wulkanem w górze lodowej. O ile Hitler jest typowym produktem powojennym, o tyle Hugenberg jest tworem — przedwojennym.

Ideał jego stanowi Reich, rządzony przez małą elitę ducha niemieckiego. Hasłem — absolutna karność i posłuszeństwo społeczeństwa.

Socjalizmu i komunizmu nienawidzi. Gotów zgładzić z powierzchni ziemi te kierunki społeczne i ich zwolenników. Inicjatywę Bismarka w kierunku prawodawstwa socjalnego uważa za zgubę Niemiec. Jest zwolennikiem barjer celnych i samowystarczalności Niemiec.

Traktat Wersalski uważa za przekleństwo i przyczynę wszystkiego zła. To jego prasa prowadziła atak na plany Dawes'a i Young'a. Chce nam zabrać Pomorze i Górny Śląsk, a w Alzacji i Lotaryngji spowodować plebiscyt. Niemcy współczesne uważa za żelatynę, a chce z nich zrobić granit.

Człowiek ten odgrywał już dużą rolę za monarchji, a zwiększył ją za republiki, której nienawidzi. Jak powiększał on majątek podczas inflacji, a jeszcze szybciej po stabilizacji waluty, jak wygląda klucz jego powodzenia i co za siła tkwi w tym 68-letnim panu, który dziś zaczyna karjerę męża stanu — nie powinno być obce nikomu.

Ojciec jego był w Hanowerze skromnym „radcą skarbowym" — Schatzrat. Przezywano go ironicznie Schwatzrat, radcą gadatliwym, bo nigdy nic nie radził i przeważnie milczał. Syn wdał się trochę w niego. Był małomówny, ale pracował wiele. Lubił samotność. Stąd się zrodził tomik jego poezji „Kwartet". Tego rodzaju grzechów nie ma więcej na sumieniu.

Odbywszy wędrówkę po wszystkich uniwersytetach, doktoryzował się w Strasburgu i został urzędnikiem administracyjnym nad granicą Holandji. Wykazuje duże zdolności. Powołują go do Komisji Kolonizacyjnej w Poznaniu. Szefowie uważają go za tęgą głowę polityczną. Awansuje szybko. Już jako urzędnik Pruskiego Ministerstwa Finansów wysłany został w r. 1905-ym do Stanów Zjednoczonych dla badania stosunków agrarnych. W raportach wyraża się okropnie o miastach amerykańskich, ale radzi Niemcom naśladować Amerykę w metodach kolonizacji rolnej.



Alfred Hugenberg

Małżeństwo zawarł z rozsądku. Teść — burmistrz Frankfurtu nad Menem — wyrobił mu poważne stanowisko w jednym z banków. Czterdziesto-czteroletni Hugenberg na 5 lat przed wojną jest już prezesem Rady Koncernu Zakładów Amunicyjnych Kruppa w Essen. Opinja wielkiego przemysłu ma go za wirtuoza interesów. W trzy lata później zostaje dyrektorem Reńsko-Westfalskiego Syndykatu Węgla i Stali. Ale te najwyższe stanowiska w życiu gospodarczem Niemiec były dopiero odskocznią do dalszej karjery.

Wybucha wojna. Hugenberg stoi na czele przemysłu wojennego, ma pod sobą 200.000 robotników, fabrykuje „grube Berty" i inne infernalja, mające podbić świat.

Jeszcze podczas wojny Hugenberg daje początek niemieckiej wojennej propagandzie. Skupuje szereg pism i wytwórni filmów, staje się generalissimusem opinji publicznej Niemiec. Po zawieszeniu broni opuszcza Kruppa i rzuca się w wir walki politycznej.

Konstytucję Wejmarską nazywa monstrualnym skandalem w historji Niemiec. Wytacza walkę demokratyzmowi i socjalizmowi. Gdy Francja zajmuje Ruhrę, propaguje bierny opór. Pracuje w porozumieniu ze Stinnesem. Ten opanowuje ciało Niemiec, Hugenberg — duszę. Stinnes bankrutuje, Hugenberg stoi jak dąb.

Dziś Hugenberg ma w rękach prasę, a więc opinję dwóch trzecich wszystkich niemców. Znany dziennikarz amerykański Lengyel pisze o Hugenbergu w „New-York Times'ie", że jego ajencja Telegraphen-Union obsługuje 1600 gazet.

Cała ta karjera była dopiero wstępem do właściwej roli i zadania Hugenberga, aby przygotować Niemcy do dyktatury. Dyktatorem miał być on sam.

Ale Hugenberg nie ma warunków na zdobycie tronu dyktatora. Nikogo nie porwie krasomówstwem. Nie jest demagogiem. Nie umie zetknąć się z tłumem, którym trochę gardzi. Tłum go nie zna — osobiście.

Los mu posłał Hitlera.

Od chwili poznania się zostali przyjaciółmi. Dopełniają się fenomenalnie. Każdy z nich ma to, czego drugiemu brakuje.

Zdumiewające jest jedno: Hitler jest apostołem nowych Niemiec, Hugenberg — starych, a idą razem.

Nie jest-że to powodem do mniemania, że stare Niemcy i nowe to jedno.

Braterstwo załamuje się wprawdzie co jakiś czas; gdy Hugenberg stanął za Papenem, Hitler był przeciwko niemu. Przed wyborami zeszłorocznemi Hugenberg wzywał swoich do zwalczania Hitlera. Ale gdy po Papenie przyszedł Schleicher, Hugenberg odwrócił się do niego plecami, a twarzą przyjazną do Hitlera. Teraz wszyscy trzej: Hitler, Papen i Hugenberg zasiadają razem w rządzie. Ale znów daje się zauważyć rywalizacja między Hitlerem a Hugenbergiem. Ten jakby tracił wpływy: Stahlhelm go odstępuje, chcą mu wydrzeć teki gospodarcze. Istotnie, małżeństwo polityczne Hitler — Hugenberg wydaje się być nienaturalnem, Hugenberg bowiem jest wyrazicielem czystego kapitalizmu, gdy Hitler socjalizuje. Znawcy twierdzą jednak, że ten zez socjalistyczny jest tylko taktyką pozyskania mas dla celów zgoła Hugenbergowskich. Więc kto kogo zużytkuje? Cała przeszłość Hugenberga wskazuje, że nie zadowolni się on w tym politycznym teatrze rolą reżysera i że zechce zostać dyrektorem. Może Hitler już to przeczuwa i stara się zawczasu obezwładnić rywala. H. — H. — H. — gotowa rozlecieć się.

Dr. Gustaw Olechowski

WŚRÓD WINNIC I PAWIANÓW

Wrażenia z Afryki Południowej

I. EMIGRANT.

Działo się w Anglji, na głuchej prowincji, stosunkowo niedawno, może przed ośmiu, może przed dziesięciu laty. Nowopobrani państwo Lock, doniedawna wdowiec i wdowa, dość już oboje posunięci w latach, przejeżdżali przez miejscowość, zwącą się Bartinney.

Zatrzymali się właśnie na środku drogi, zachwyceni pięknością wiejskiej siedziby, którą mieli przed sobą.

— Bartinney — rzekł półgłosem, jakby do siebie, pan Lock. — Tak nazwiemy przyszłą naszą farmę!

I pojechali dalej.

*

Powojenne czasy we wszystkich krajach wznieciły nieprzepartą chęć radykalnej naprawy podupadłych lub zniszczonych ognisk domowych; żądza wniesienia w nie radości i piękna stała się żywiołowym rewanżem za nędzę czteroletniego bytowania w okopach. Anglja, w której krótkie słowo „Home" znaczy tak wiele, ruszyła całą parą: budować, urządzać wnętrza. Firmy, pracujące w tym zakresie, rozrastały się, puchły. Dla architektów i artystów-dekoratorów nastało wielkie żniwo.

Jednym z takich szczęśliwych „Furnishing Experts" był właśnie pan Lock. Wieloletni współpracownik jednego z największych budowlanych przedsiębiorstw londyńskich, niezwykle utalentowany, pełen inwencji, o subtelnem, przenikliwem poczuciu piękna, zgarniał do kieszeni gruby grosz. Rachunek jego w banku rósł. Kilka dobrych, tłustych jak się mówi, lat — i dość!

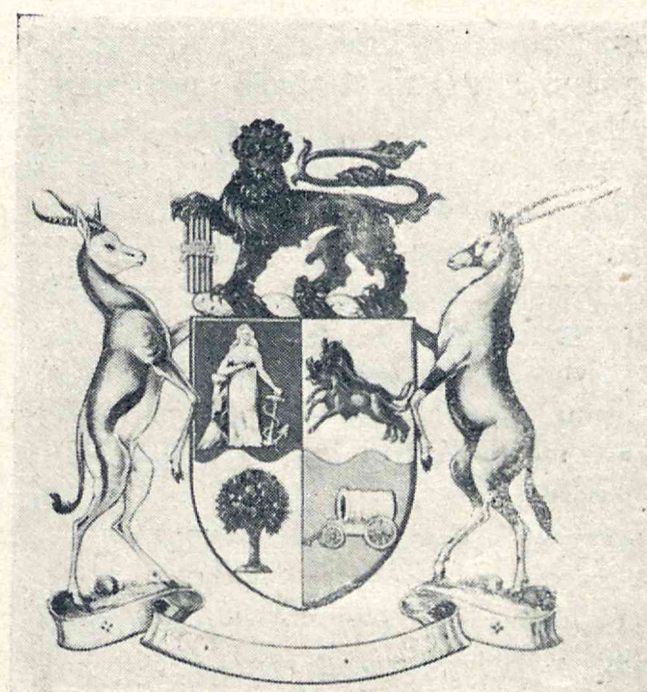
— Ale co dalej począć?

Zasiąść teraz w swem własnem „home", w półdrzemce, z fajką lub cygarem w zębach, zasłonić się płachtami codziennych „Times'ów", gdy, pomimo już skończonych pięćdziesięciu lat, tętni jeszcze w żyłach przedsiębiorcza anglosaska krew.

— Nie, trzeba coś robić!

Pewne zachodzące zmiany pozwalały już przewidzieć, że złote czasy miną, i to prędko. Wojna kosztowała drogo. Zaczęły się w Anglji wzmagać podatki. Fiskus dobierał się do zamożniejszych kieszeni. Dochody malały, a ciężary rosły. Niejednemu stawało się duszno, gorąco, mimo łagodnego, raczej chłodnego klimatu.

W pojęciu jednak poddanych Zjednoczonego Królestwa cały świat, stanowiąc ich własność, stoi przed nimi otworem. Skoro więc zaczyna być źle we własnej ojczyźnie, na „wspaniale odosobnionych" wyspach, poco się męczyć? Oto bezmierna Kanada, może tam będzie lepiej? Albo zaciszne Bermudy, skąpane w słońcu i owiane czarującem powietrzem? Nęcące niegdyś Indje lepiej teraz ominąć. Zato cała część świata — Australja, jest do dyspozycji. A jeśli ten kontynent wyda się komuś zbyt postępowym socjalnie, toż są jeszcze w odwodzie południowo-afrykańskie kolonje. Starczy miejsca i pracy dla całych miljonów. Tylko trzeba być Anglikiem i... trzeba mieć pieniądze.

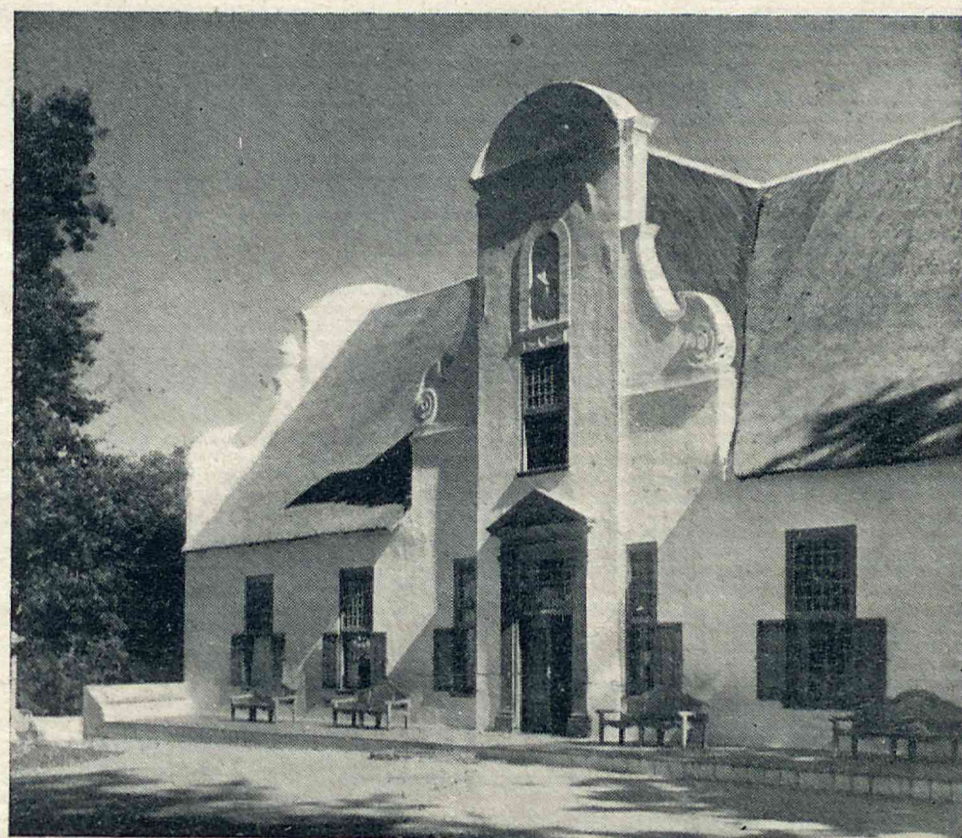


Herb Związku Afryki Południowej

P. Lock odpowiadał obu warunkom. Po długich studjach, rozważnie, wybrał afrykańskie zaświaty. Tyle racji przemawiało za tem: Klimat zdrowy, umiarkowanie gorący; niezmiernie wysoki, niekiedy prześcigający zachodnio-europejski, poziom cywilizacji; ludność biała ciągle jeszcze nieliczna, bo cóż znaczy niecałe miljon dziewięćset tysięcy, rozsiane na przestrzeni czterystu siedemdziesięciu trzech tysięcy mil kwadratowych terytorjum Związku, niezliczone bogactwa pod ziemią; świetny stan rolnictwa. Zwłaszcza zachęcającą jest uprawa winnej łozy, dającej owoc ze stu pięćdziesięciu miljonów krzewów, oraz pomarańcz, cytryn, brzoskwiń, moreli i innych drzew owocowych, których korony zakwitają i dają plon na dwudziestu dwu mil-



Pinje wzdłuż szosy z Capetown do Constantii



Dom z 1685 roku mieszczący stację doświadczalną

jonach pni. Wśród ludzi niechęć do polityki; zamiast tego rozwinięty instynkt kupiecki, zupełny spokój społeczny, praca najemna w ilości sześciu miljonów par rąk do dyspozycji za bezcen, minimalne podatki. A ponad tem wszystkiem codzienny czar słońca dalekiego południa...

W „Union-Castle Line", na Fenchurch Street, w środku zgiełkliwego, ciasnego londyńskiego City, kupuje pan Lock bilet okrętowy. Narazie jeden, dla siebie, do Capetown.

Odrazu po wylądowaniu oszołomiony jest pięknem przyrody, bada pilnie na miejscu wszystkie sprawy, ściśle kalkuluje ceny ziemi, jej uprawę, koszt wzniesienia budynków, ceny wywożonych owoców.

Objeżdża najbliższe okolice, zapuszcza się wgłąb kraju na sto, dwieście, trzysta mil, jedzie nawet do wschodniej prowincji Związku — Natalu, zaludnionego wyłącznie rdzennymi Anglikami i powraca znów w okolice Capetown.

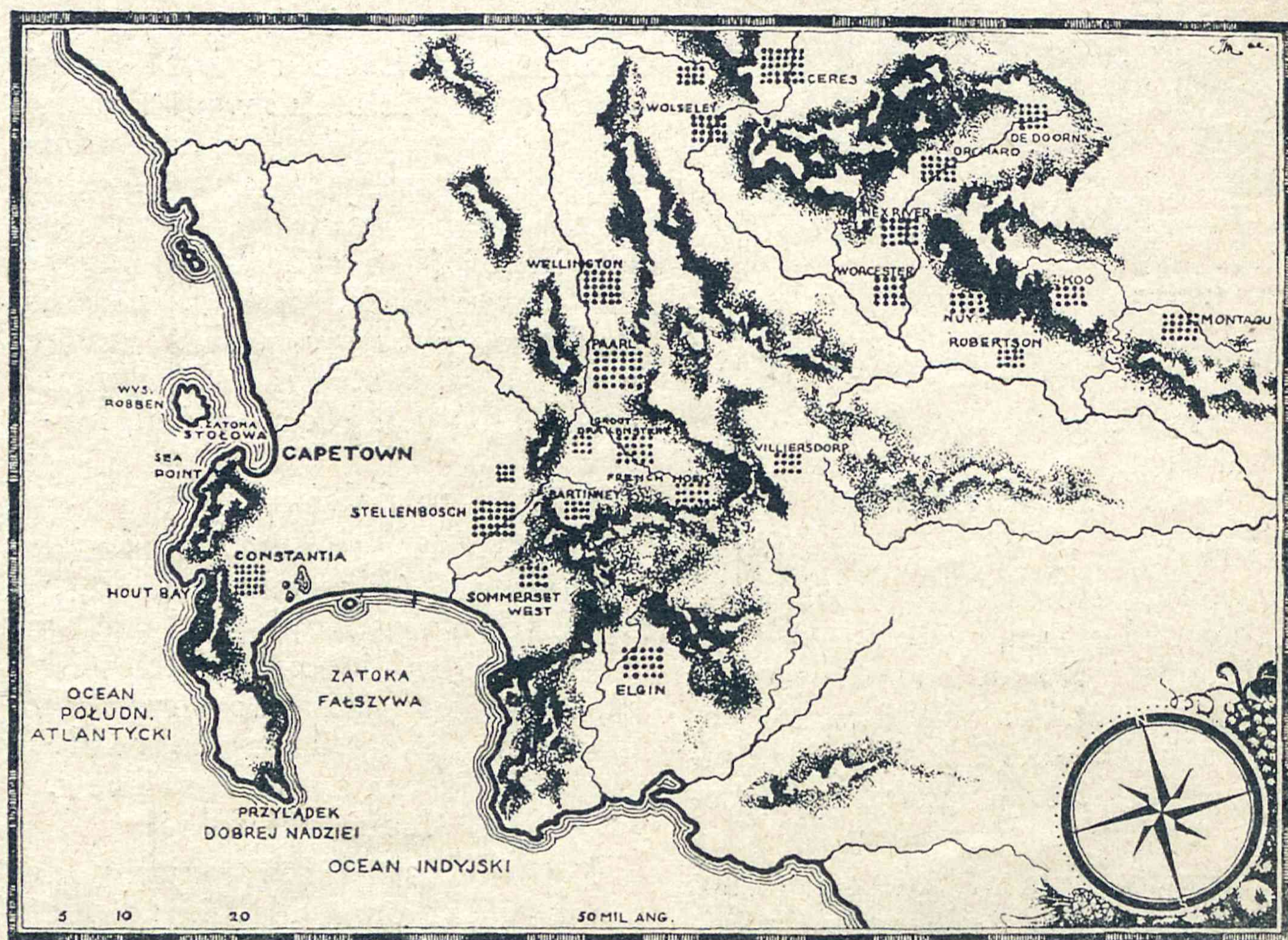
Nareszcie wybrał, odmierzył na skłonach Banhoek około trzydziestu pięciu holenderskich morgów, stargował i kupił. Nowonabytą przestrzeń natychmiast otoczono drutem. Pięknie kaligrafowany na czerpanym papierze akt kupna schował do kieszeni. Zagorzały od słońca i morskiego wichru, wraca do Anglji.

W mglistej swej ojczyźnie zwija manatki, likwiduje wszystko. Zakupuje natomiast to, co do budowy domu, jego wykończenia i urządzenia uważa za stosowne wziąć z sobą. Wieloletnie doświadczenie fachowe obraca nareszcie dla swej własnej potrzeby i radości. Załadowuje więc na okręt średniowieczne, rzeźbione w kamieniu belki, całe stosy kafli, cegiełek, mebli, starą miedź, cyny angielskie, porcelanę, srebra, dywany i cenne tkaniny, lane, zielonkawe szybki okienne z gruzłem pośrodku, moc wszelakiego sprzętu, który narazie wydaje się rupieciarnią. Przyda się wszystko. Zapakowane starannie skrzynie toną w kadłubie okrętu, mającego lada dzień odejść do Afryki Południowej.

Mitręga ta ma wreszcie swój koniec. Porzuca wraz z żoną i pasierbicą starą ojczyznę. Giną im z oczu zielone kobierce wyspy White...

*

W ciągu kilkutygodniowej drogi morskiej wchłania p. Lock zupełnie nową dla siebie wiedzę. Wertuje podręczniki o uprawie ziemi pod winną łozę, o zakładaniu sadów, o hodowli bydła. Wydawnictwa rządowe, świetnie opracowane przez odpowiednie instancje w Pretorji, administracyjnej stolicy jego nowej przybranej ojczyzny, dają mu możność opanować temat.



Mapa Kraju Przylądkowego ze wskazaniem rozmieszczenia winnic i farm owocowych

Dowiaduje się, że w Kraju Przylądkowym Afryki Południowej po raz pierwszy zasadzono winną łozę w 1633 roku. Sprowadził ją gubernator holenderski Simon van der Stel; wypielęgnowali i rozkrzewili Hugenoci. Rozrost postępuje szybkiemi krokami. Powstają osady: Paarl, Stellenbosch, dziś miasta, z kilkunastotysięczną ludnością, wokoło których kwitnie uprawa winogron i z nią związany przemysł przetwórczy. Za niemi wyrasta cała plejada mniejszych miejscowości, jak: Worcester, Malmesbury, zaludniają się najbliższe okolice Capetown, potem Robertson, Tulbagh, pierwszorzędne Ceres, Piquetberg, Montagu, Caledon. Choć nazwy ich brzmią różnie, wszystkie jednak oznaczają jedno i to samo: winogrona, owoce.

Przeszło dwa stulecia mijają mniej-więcej szczęśliwie. Dopiero w roku 1886 nawiedza, — zawleczona zapewne z za morza, niezwykle dla łozy winnej złośliwa zaraza: filoksera. Od niej ginie dosłownie cały dorobek. Jak się okazało, europejskiego pochodzenia krzaki, choć zaaklimatyzowały się świetnie, nie były na choroby dostatecznie odporne. W 1892 r. zostaje więc sprowadzona bardziej odporna latorośl z Ameryki. Daje ona znakomite rezultaty, jakby chciała wynagrodzić straty, poniesione z winy krewniaczki europejskiej.

Aby zapobiedz na przyszłość winnej katastrofie, rząd zakupuje jedną z najstarszych i najsławniejszych farm: Groot Constantia. Jest ona położona w odległości dziesięciu mil od Capetown, w niezwykle malowniczej i żyznej dolinie: Constantia Valley. W pięknym domu, będącym starym zabytkiem stylu holenderskiego z roku 1685, z czasów jeszcze gubernatora Van der Stel'a, zostają pomieszczone biura i laboratorja państwowej stacji doświadczalnej, roztaczającej nadzór nad uprawą winnej łozy i fabrykacją win, oraz wszelkich pochodnych spirytualji.

Do takich samych celów jest przeznaczona w r. 1910 farma doświadczalna Belle Vue, gdzie hoduje się około dwustu odmian winnej latorośli. Wreszcie wiedzę kultury winnej pogłębia holenderski uniwersytet w Stellenbosch'u, prowadząc kursa specjalne, poświęcone tej gałęzi rolnictwa i przemysłu.

Wiele jeszcze ciekawych rzeczy o organizacjach producentów i kupców owocowych, o rozmiarach tego handlu, o ustawodawstwie w tej dziedzinie—dowiedział się p. Lock. Wreszcie odłożył książkę. Zapatrzony w błękitne bezmiary otaczających go wód, marzył o własnych przyszłych winnicach i sadach, o ekspedjowaniu do Europy złotych kiści winogron, pokrytych puszkiem brzoskwiń, lśniących kul pomarańcz. Marzył...

Jan Majewski

(D. c. n.).

HAZARDY RENTOWNEJ SZTUKI...



Nieudałe porwanie nadobnej damy „z towarzystwa" przez dzikiego i okrutnego cow-boy'a...

Z WYSTAWY PRAC LUDOMIRA ŚLEŃDZIŃSKIEGO



„Portret Pani B. P."



Płaskorzeźba



„Dziewczyna z pudełkiem"

TRIUMF WILEŃCZYKÓW W SZTUCE

Atmosfery miast polskich mają swój odrębny wyraz, do którego dostrajają się ludzie, rzeczy i zdarzenia.

Nawet tango dźwięczy inaczej we Lwowie, jakoś rzewniej i jurniej, niż w dostojnym Krakowie, gdzie i Mater Jagiellonica radaby sobie czasem podskoczyć, w Warszawie brzmi jak wesołkowaty szmonces, a gdy słucham tych tonów w Wilnie, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w melodję smętnych kabokli mieszają się raz po raz uroczyste organy z katedry.

Bezwątpienia, iż ze wszystkich miast polskich Wilno posiada najmniej materjalistycznej kultury i zawsze mało się o nią troszczyło, pielęgnując wysokie wartości ducha.

Czyż nie słuszne, iż w Wilnie, a nie gdzieindziej, skupili się ci boży szaleńcy, którzy poruszyli „bryłę z posad świata" i siłę mierzyli na zamiary?

Jakże ubogo byłoby w Polsce bez tych szaleńczych obłąkańców wiary i zapału, którzy na opuszczonym tronie osadzili Króla Ducha i kazali mu panować.

Tak było i jest, iż szum puszcz prawiecznych zwiewa na miasto takie sny, jakie rzadko tylko nawiedzają gdzieindziej człowieka.

Przedewszystkiem zaś żyje w atmosferze wileńskiej pęd do monumentalności i przeświadczenie, że dla jednodniowego powodzenia nie warto się trudzić, gdyż dzieło powinno trwać wiecznie—zarówno miłość, jak wędlina, starka, dom, książka i sztuka.

Któż pyta stare babki przed Ostrą Bramą, ile liczą sobie lat; mam wrażenie, że trwają tam od czasów Gedymina, tak są monumentalne.

Więc i młoda sztuka, posiadająca w innych stronach Polski cechy zmienności kapeluszy damskich, w Wilnie skłania się do trwałości. I jest osobliwą w Polsce i najżywiej trafia w dusze tej nowej gromady, która usiłuje wznieść piękne pałace na ruinach materjalistycznego świata.

Dlatego z łatwością mógłby anektować Kościół Katolicki sztukę Śleńdzińskiego i szkoły wileńskiej, jako powiew odrodzonego ducha katolickiego, który przeobraża oblicza kobiet w kształty Madon, dziewice w anioły, a mężczyzn w bojowników z szatanem.

Mniejsza z tem, że Ludomir Śleńdziński i wierni mu w ideale: Kwiatkowski, Rouba, Jamontt, Wendorff-Serafinowiczowa nie są zjawiskiem przypadkowem w sztuce, że nić pobratymstwa ich twórczości wije się poprzez Piotrogród, Jakowlewa, angielskich prerafaelitów aż do starych Holendrów i wczesne'o renesansu włoskiego.

Jest to sprawa drugorzędna, bo oblicza serdecznych kochanków upodobniają się często do siebie.

W sumienności i dokładności rzemiosła, w hieratyczności tematów i barw, w tworzeniu atmosfery podniosłego piękna nie mają Wileńczycy równych sobie w Polsce, a tem dobitniejsza ich wymowa, iż grupą następują, po napoleońsku, maszerując oddzielnie, a bijąc razem. Z pośród wszystkich więc polskich ugrupowań artystycznych są najbardziej zwartem zjednoczeniem właśnie dlatego, że łączy ich wspólność duchowa o zasięgu znacznie szerszym, niż artyzm dzieł malarskich i rzeźbiarskich.

Pragną bowiem być nietylko artystami, ale twórcami pięknego życia o bogatej treści wewnętrznej.

Mógłby ktoś powiedzieć: — powrót do średniowiecza. Mniemam, że tkwiłaby w tem twierdzeniu odrobina prawdy.

Wyrzucona bowiem z swych podstaw powojenna dusza ludzka chwyta się kurczowo wypróbowanych przez wieki idej, więc zrozumiałe, że artyści chętnie spoglądają w przeszłość, a zwłaszcza w średniowiecze, tak niezmiernie bogate w wielkie myśli i wielkie serca, których nie widzą wokół siebie.

Przeto upodobnianie się współczesnych artystów do dawnych cechowych mistrzów, nawet średniowieczna maskarada szat i gestów jest nieszkodliwem aktorstwem, które umożliwia prawdę przeżycia i swobodną wędrówke po polach mistycznych.

Przedewszystkiem Śleńdziński nie jest wolny od tego teatralnego patosu zarówno w rzeźbie, jak i w malarstwie, w niewolniczem stosowaniu dawnych technik i często spotykanego w owych czasach trójwymiarowego obrazu. Nie jest to ani potrzebne, ani pożyteczne dla sztuki Śleńdzińskiego, tak bogatej i dostojnej w swej duchowości, iż staje się hasłem dnia i tryumfem Wilna.

Witold Bunikiewicz.

ŚWIAT KSIĄŻKI

NAD BAREM „KLASA"

Zbyt żywo stoją nam w oczach obyczaje „sejmowładztwa polskiego" z ery przedmajowej, by można było znaleźć objektywny wykładnik i miarę dla tej rzeczywistości. Stenogramy sejmowe, artykuły i notaty prasy codziennej przechowują pamięć tego, co działo się wtedy w gmachu na ulicy Wiejskiej i jakie z tego płynęły dla Państwa konsekwencje. Nie jest to jednak właściwy obraz. Historyk z trudnością ustali z tego materjału proporcje wydarzeń i ludzi! Pamiętnikarze zapewne dostarczą cenniejszego materjału w tym względzie, wyjaśniając, czemu tak a nie inaczej splatały się i krzyżowały różne wypadki. Będą to jednak również indywidualne ujęcia, niezawsze ścisłe, a może nawet sprzeczne z istotą faktów!

Zaranie życia naszego politycznego w odrodzonej Rzeczypospolitej obfitowało bowiem w niepojęte kontrowersje, spory, walki. Skupiały się one w Sejmie, lecz punkt wypadowy mieścił się często w jakimś barze, piwiarni, restauracji. Obyczaje urobiły się też specyficzne, niełatwe do zwartościowania moralnego. Intryga przybierała różne barwy, kształty, drapowała się w płaszcze z najdziwniejszych rekwizytorni ideowych, ukrywała interesy grup czy jednostek, dążąc do władzy i... zysku. Ludzka to przecież rzecz, że za słowem bezinteresownem, uskrzydlonem, znaleźć można często zimną, rachunkową kalkulację. Czy jest to zawsze źle? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Właściwością bowiem polityka, miarą jego talentów, bywa także umiejętność przewidywania, kalkulowania spraw swoich i cudzych na dalszą metę, ukrywania właściwych celów, wyprowadzanie bliźnich w pole. Pierwiastki moralne w polityce podporządkowują się organizacji, dyscyplinie, sile.

Stwierdzając te fakty, moglibyśmy przytoczyć wiele przykładów z przeszłości i teraźniejszości. Zatrzymajmy się raczej na powierzchni wydarzeń z życia niedawnego sejmowładztwa. Pokazuje nam je Juljusz Kaden-Bandrowski, zaszczytnie znany beletrysta w nowej swojej trzytomowej powieści pt. „Mateusz Bigda" (Grunt, Masło, Spiżarnia). Nie można żądać od niego, by ustosunkował się do swojej wizji beletrystycznej w sposób beznamiętny, z czystą ciekawością psychologiczną czy plastyczno-estetyczną. Materjał jest zbyt świeży, płynny, poruszający kompleks spraw najbardziej intymnych, życiowych, związanych z wieloma czynnikami poza artystycznemi.

Ambicję jednak miał wielką autor tego utworu! Chciał uplastycznić sejmowładcze kulisy i przez ten obraz knowań, intryg, zabiegów, podstępów pragnął pokazać moralny, obyczajowy osąd ludzi i wydarzeń. Całą uwagę skupił na postaci Mateusza Bigdy, wodza chłopskiej partji, otaczając go różnemi Deptułami, naganiaczami, maklerami, stręczycielami politycznymi. Osoba Mateusza Bigdy może nawet wbrew tendencji autora nie została jednak pomniejszona. Ten chłopski Makjawel w ujęciu Kadena jest rozumnym, przezornym, a nawet porządnym człowiekiem. Czyż to jego wina, że musi politycznie pracować w zespole różnego typu kombinatorów, opojów, erotomanów? Sam jest siłą raczej pozytywną.

Juljusz Kaden-Bandrowski, wyczulony obserwacyjnie na ujemne strony charakterów ludzkich, nie przypisuje mu żadnych



J. Kaden-Bandrowski

kompromitujących cech. Mateusz Bigda jest dobrym mężem, przezornym ojcem, zachowuje powściągliwość obyczajów. Polityczne jego posunięcia służą mu do robienia interesów w „Maśle", „Nafcie" czy innym „Hurcie", lecz to nie może go kompromitować wobec inteligentnego czytelnika, wiedzącego, iż polityka nie jest karnawałem próżności. Autor włożył Bigdzie w usta charakterystyczne słowa:

— „Od jutra dosyć już kryminału, awantur, świństw i hec. Pan profesor Deptuła! Uporządkuje wszystko. Odszukaj swoją matkę. Nie może być dziadówką. Będziesz miesięcznie posyłał jej pieniądze: mnie masz pokazać kwit. Co miesiąc. Dość dziwek, wszystkich dziwek. Pętaniny i świństw".

Przecież taka oracja świadczy, iż w tym chłopskim wodzu nie zamarł instynkt prywatnej uczciwości". Autor Bigdę wywyższył ponad Mieniewskiego, Lachowskiego, Stachowskiego — szefów sejmowego kontredansa barowo-restauracyjnego. Mieniewski, wódz socjalistów, utrwala się, jako komedjant, pozer, frazesowicz, Lachowski, niby wódz konserwy, nie grzeszy rozumem, a Stachowski nie jest obdarzony żadnemi wybitniejszemi właściwościami duszy. Intencje tych postaci są stereotypowo-prywatne. Mieniewski musi ratować swój „Bank Robotniczy", Łachowski szuka gwałtownie pożyczki na wyprowadzenie z niedoborów ordynacji, Stachowski ma też swoje interesy na „haku w spiżarni" Mateusza Bigdy.

Czy wizja „sejmowładztwa" ucieleśniona w te postacie jest artystycznie objektywna? Jest to niemożliwe. Zbyt blisko stoimy tych wydarzeń, zbyt jesteśmy związani własnemi przeżyciami z tą niedawną rzeczywistością. Zastanawia jednak, iż w utworze tym niema ludzi, którzy reprezentowali zgoła inne pierwiastki polityczne. Tadeusz Mieniewski nie może przecież być wykładnikiem ideologji legionowej. Podczas sejmowładztwa pracowały w gmachu na ulicy Wiejskiej także postacie, które stały się później aktywnemi czynnikami nowych politycznych ustosunkowań się do Państwa. Brak tych odpowiedników zbyt zacieśnia pole widzenia.

„Mateusz Bigda", jako utwór o wyraźnym profilu politycznym, wzbudził dyskusje raczej natury pozaliterackiej. Tak być musiało, i takie były zapewne intencje autora.

Eustachy Czekalski

BOY-ŻELEŃSKI O SOBIE

Kwiaty i ciernie nagrody literackiej

Jak się czuje Boy-Żeleński w roli laureata?

— Jak się czuję? — Autor „słówek" zastanawia się przez chwilę. — Teraz — dobrze, ale chodzi o to, jak będę się czuł w dniu, kiedy ojcowie miasta będą przemawiali do mnie per „Mistrzu", albo „Czcigodny panie"! Przypuszczam, że to będzie jeden z piękniejszych dni w mojem życiu. Narazie, nagroda miasta Warszawy stała się pretekstem do dokuczliwości, któremi mnie uczęstowała prasa wszystkich miast.

— Dokuczliwości?

— I jakich! Cały jestem pokłuty szpileczkami, wśród których od czasu do czasu dywersję stanowi uderzenie kłonicą po głowie. Piszą mi, że dostałem nagrodę przez „intrygę literacką", rzekomo dlatego, że głosowali za mną wszyscy literaci, a przeciw mnie wszyscy radni miejscy. Wymawiają mi, że przeszedłem tylko jednym głosem większości, w czem pociesza mnie fakt, że obecnie Paderewski też przeszedł jednym głosem większości... Tłumaczą cierpliwym czytelnikom, że wogóle nigdy nie byłem literatem, tylko dziennikarzem. Pewien tygodnik pisze: ...„twórczość oryginalna laureata sprowadza się do recenzyj teatralnych i artykułów publicystycznych, będących w istocie dziennikarstwem..." Nie ośmieliłbym się

temu rzetelnemu informatorowi przypominać „Słówek" wierszem, oraz drugie tyle „Słówek" prozą, essayów zaiste nic wspólnego nie mających z dziennikarstwem, ale pozwolę sobie przypomnieć mu bodaj książkę „Ludzie żywi", proponowaną przed kilku laty do nagrody państwowej, książkę „Znasz-li ten kraj?" wysuwaną w tym roku do nagrody państwowej; książkę o Moljerze i kilka tomów studjów z literatury francuskiej, które zyskały mi nominację na profesora uniwersytetu poznańskiego... Skoro tak informuje o mnie prasa poważniejsza i stosunkowo przychylna(!), czegóż spodziewać się od innych, zwalczających masona-Boya za wszelką cenę! Ja osobiście przywykłem do tego; ale to bezceremonjalne uprzątanie niewygodnych faktów, ten wyścig nierzetelności z ignorancją wydaje mi się jako symptom dość przerażający.

— Jakie prace planuje pan na najbliższy okres czasu?

— W ostatnim czasie znęcił mnie problem Fredry. Należę do pokolenia wychowanego na Fredrze; przez kilkanaście lat pracy krytyka teatralnego po kilka razy wracałem do tych samych sztuk Fredry w rozmaitych teatrach; miałbym tedy ochotę zastanowić się nad ewolucją, jaka w ciągu tego czasu zaszła co do Fredry, tak w krytyce, jak i inscenizacji. Może z tego urodzi się jaka książeczka, której możnaby dać tytuł „Rozrachunki fredrowskie".

— A pozatem?

— Pozatem, oddaję do druku nowy tom feljetonów teatralnych — już dwunasty.

— A dalej?

— Dalej? Zbierze się zapewne niezadługo nowy tom essayów literackich; w najbliższym czasie ukaże się nowe, pomnożone wydanie „Piekła kobiet"...

— A „Bibljoteka Boya"?

— Wychodzi ciągle, „aber fragt nicht wie!" — jak powiada Heine. Od samych narodzin wpadła w pełny kryzys, który ją dławi. Obecnie dobiega 60 tomu, w nowem poprawionem i ujednostajnionem wydaniu.

— Czy ukazują się w niej i jakieś nowe prace?

— Wciąż, od czasu do czasu. Obecnie wychodzi „Pamiętnik egotysty" Stendhala, pierwszy raz po polsku, i „Eugenja Grandet" Balzaka, która wyszła niegdyś po polsku, ale przed pięćdziesięciu laty. W jesieni chciałbym przygotować zbiorowe wydanie Stendhala w 10 tomach w prenumeracie.

— A „Liga reformy obyczajów"?

— Obudziła żywe zainteresowanie; prowincję zwłaszcza poprostu zelektryzowała! Ale o tem pomówimy lepiej w osobnym wywiadzie... za parę lat. Do tego czasu zacznie się mówić o wielu rzeczach, „o których się nie mówi".

k. w. k.

ZGIEŁK WOKÓŁ NAGRÓD

(s) Obawiać się należy, iż Zarządy miast, które z tak dobrą wolą, mimo trudności finansowych, ufundowały szereg dorocznych nagród naukowych, literackich i artystycznych, niebawem powiedzą sobie: — Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię...

Koło każdej nagrody zaczyna się budzić tyle kwasów, sporów i walk, że wkońcu pozostaje tylko niesmak. Nagroda przestaje być zaszczytnym wyrazem powszechnego uznania dla zasługi uczonego, literata czy artysty. Staje się cierniową drogą do zdobycia kilku tysięcy złotych.

Sytuacja wyjaśniłaby się znacznie, gdyby ustalono zasadę, czy przy przyznawaniu nagrody powinno się kierować wyłącznie względami zasługi kandydata, czy też należy brać również pod uwagę jego położenie materjalne. Wydaje się, że pomocy finansowej dla zasłużonych pisarzy i artystów należałoby szukać na innych drogach.

*

Nareszcie jedna nagroda literacka, która nie wywoła żadnych sprzeciwów. Tegoroczna łódzka nagroda artystyczna przyznana została (jednomyślnością jurorów) znakomitemu pisarzowi A. Strugowi.

Jesteśmy szczerze radzi, że sprawiedliwości stało się zadość: Strugowi należał się od dawna ten wyraz uznania.



Andrzej Strug, laureat m. Łodzi

NOTATKI LITERACKIE

„MIASTO MOJEJ MATKI" WE FRANCUSKIM PRZEKŁADZIE

P. Hanka Bastianello przełożyła na język francuski poczytny tom opowiadań J. Kaden-Bandrowskiego pt. „Miasto mojej matki". W przekładzie tytuł ten brzmi: „Ma ville et ma mère". Utwór ten ukaże francuskiej publiczności twórczość autora „Generała Barcza" ze strony najbardziej pociągającej. Książka bowiem „Miasto mojej matki" uchodzi za najbardziej dojrzały i estetycznie zrównoważony przejaw artyzmu literackiego tego płodnego pisarza.

STARA FRANCJA

(s.). Nowa, siódma z kolei część wielkiego cyklu „Les Thibault" Rogera Martina du Gard została już zapowiedziana przez autora i niebawem ma się pojawić na półkach księgarskich. W międzyczasie świetny obserwator i wiwisekcjonista życia ludzkiego ogłosił książkę całkiem innego typu pod tytułem „Stara Francja" („Vieille France"). Ten „album szkiców wiejskich" — jak go nazywa autor w dedykacji — jest rodzajem reportażu z życia małej mieściny francuskiej. Towarzysząc listonoszowi wiejskiemu, roznoszącemu listy, gazety, paczki i plotki, czerpane w znacznej mierze z podstępnie otwieranej korespondencji, czytelnik zapoznaje się z wszystkimi niemal wybitniejszymi mieszkańcami fikcyjnej wioski Maupeyrou, z ich tęsknotami, dążeniami, zaletami, wadami, z ich życiem politycznem, duchowem, towarzyskiem i seksualnem. Ponury obraz, jeżeli nie przejaskrawiony umyślnie przez autora. I nie można się dziwić miejscowej młodzieży, że chce uciekać z tego bogienka tam, gdzie atmosfera mniej zatruta i dusząca.

TRAGEDJA POWIEŚCIOPISARZA

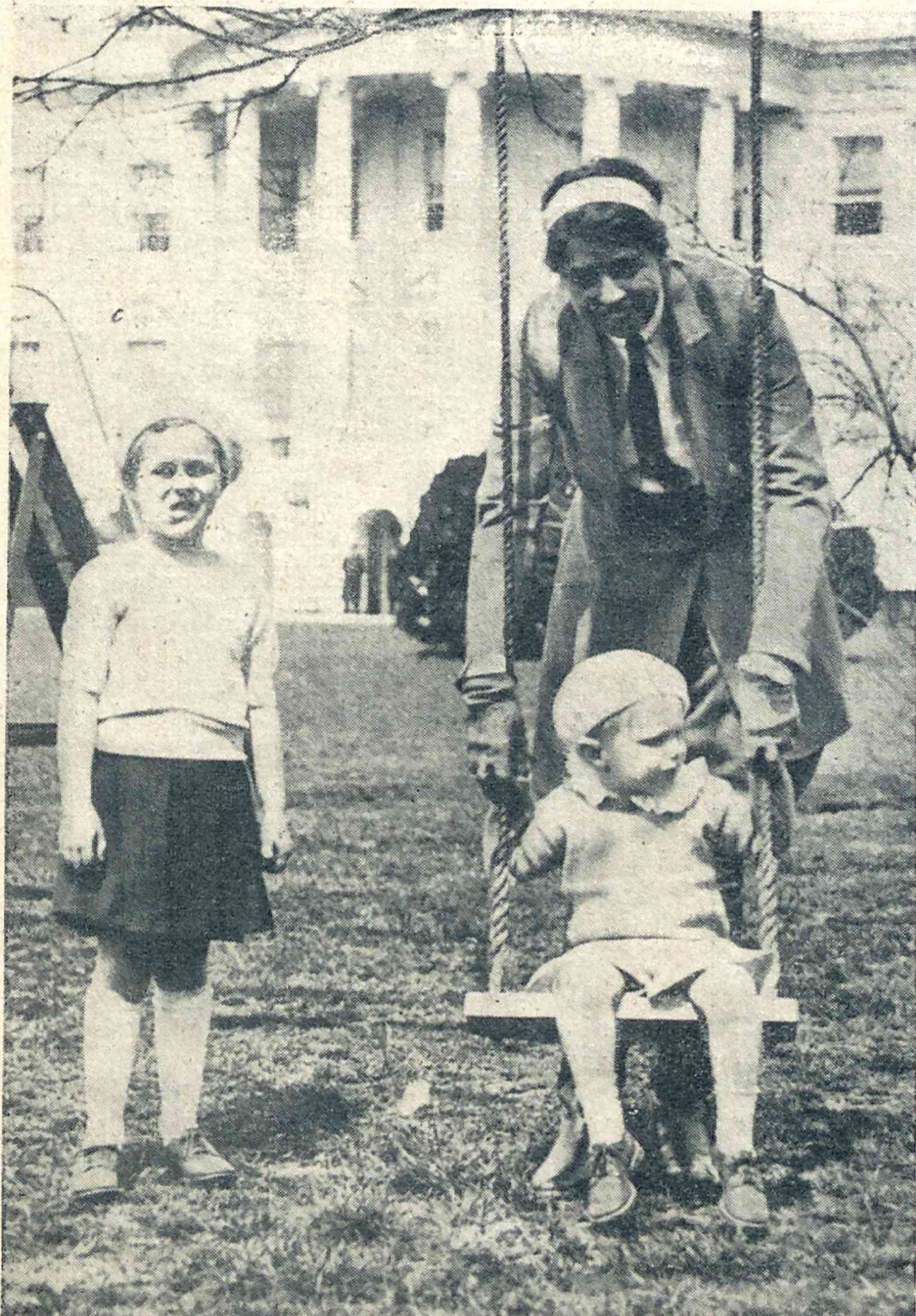
(s.). Nową swoją powieść „La Maison Thüringer", wydaną u Riedera w Paryżu, poprzedził Panait Istrati krótkim wstępem, w którym maluje tragedję współczesnego pisarza poszukującego prawdy. Jeżeli nie chce służyć żadnej partji, wszyscy, nawet dawni przyjaciele, odwracają się od niego. Na to zapomnienie przez wszystkich uskarża się gorzko Istrati, a wyznania jego sprawiają tem bardziej wstrząsające wrażenie, gdy się zważy, że utalentowany autor choruje od kilku miesięcy, konając powoli wskutek nieuleczalnej gruźlicy, zupełnie osamotniony, w klasztorze w Neamtz.

W OBRONIE KULTURY ZAGROŻONEJ WOJNĄ

(s.). Grupa wybitnych pisarzy, profesorów i dziennikarzy francuskich wystosowała gorącą odezwę do intelektualistów łacińskiej Ameryki, wzywając ich, by wspólnie z przedstawicielami francuskiej kultury dążyli do zlikwidowania walk i zamieszek, zakłócających życie państw południowej Ameryki i grożących tak pięknie zapowiadającemu się kulturalnemu rozwojowi tych krajów.

CZARODZIEJ I DETEKTYW

(s.). Na półkach księgarskich Londynu pojawiła się nakładem Hutchinsona interesująca książka, przedstawiająca dzieje przyjaźni, łączącej króla czarodziejów, głośnego magika Houdini'ego z królem kryminalistycznych pisarzy i znanym spirytystą Conan Doylem. Z osobistych relacji twórcy Sherlocka Holmesa wynika, że w pojęciach jego mieszała się poniekąd czarna magja z magją salonową. Albowiem Conan Doyle w ciągu całego swego życia, mimo wyjaśnień, jakie mu dawał Houdini o swoich „trickach", był niezłomnie przekonany, że objawy te można naprawdę przypisać tylko działaniu sił nadprzyrodzonych.



Małżonka prezydenta Stanów Zjednoczonych, pani Roosevelt w ogrodzie Białego Domu bawi się z sześcioletnią wnuczką i dwuletnim wnuczkiem



Znakomita artystka Olga Czechowa występuje obecnie w „Małym Teatrze" berlińskim wespół ze swą córką Adą, która odziedziczyła wdzięk i talent po matce

Świat teatru

Prapremjera polska w teatrze Nowym: „Kwadrans przed świtem" Juljusza Wirskiego

Powiedzmy odrazu, że był to jeden z udatniejszych debjutów dramatopisarskich, jakich kilka czy nawet kilkanaście widzieliśmy w ostatnich dwu sezonach na scenach warszawskich. Cały niemal akt pierwszy, cały obraz drugi aktu drugiego 4-odsłonowej sztuki Juljusza Wirskiego to już znacznie więcej niż *Kwadrans przed świtem* nowego talentu dramatycznego, to może bez mała „kwadrans przed wschodem" nowej siły pisarskiej na zubożonem nieco — w latach ostatnich — polu dramatopisarstwa polskiego. Nowych sił dla tej niwy ogromnie nam potrzeba i już choćby z tego względu nader słusznie uczyniło kierownictwo Teatru Nowego, że zgodnie ze swą nazwą dało głos nowemu człowiekowi.

Walory pierworodnej sztuki poety, społecznika i nowelisty Juljusza Wirskiego są niewątpliwe i niebylejakie. Niewątpliwe, bo autor ma bijące w oczy wyczucie teatru i scenicznego efektu; umie stworzyć konflikt prawdziwie dramatyczny; jest zwięzły, logiczny i rzeczowy w djalogach, pisanych prostym, żywym, łatwym do mówienia i do słuchania językiem. Walor niebylejaki sztuki „debjutanta" Wirskiego to — klimat wewnętrzny jego utworu. Przywykający powoli do oglądania na scenie jedynie lepszej lub gorszej „literatury faktu", czuje się widz nareszcie uniesiony w rejony wyższe i czystsze: walki o ducha, o ideę, o prawdę.



Juljusz Wirski

Niestety, ostrze tej szlachetnej i płomiennej — chwilami w wyrazie swoim i w formach aż sensacyjnej — walki musiało ulec ogromnemu stępieniu przez nieubłaganą siłę wyższą „konieczności cenzuralnych". Odebrało to niemało racji argumentom ideowym autora, osłabiło siłę i działanie jego chwytów djalektycznych, uczyniło mało zrozumiałemi niektóre przesłanki i konsekwencje akcji scenicznej, powodując chwilami wręcz niezrozumienie zasadniczego konfliktu sztuki. Na szczęście, wyostrzona nie od dziś u naszych słuchaczów teatralnych umiejętność „słyszenia między zdaniami" będzie umiała dopisać wiele z tych braków i niedomówień, a przedewszystkiem odnaleźć topografję akcji scenicznej; z pomocą przyjdą również jej i autorowi echa zdarzeń już minionych, lecz jeszcze nieza-

pomnianych; nareszcie i „gorgony węże" ostatniej sensacji krakowskiej mogą zrobić swoje... W tych warunkach są szanse niemałe, iż kij dramaturga-społecznika Wirskiego, waląc w ciemnościach przedświtowych po omacku, natrafi przecież na właściwe mrowisko...

Do tego „poruszenia" w znakomitym stopniu przyczynić się może życzliwe nastawienie publiczności, pobudzonej skutecznie wymową porywającej gry całego zespołu, rozgrzanego bez reszty szlachetnym patosem autora. Kazimierz Justjan w nader trudnej, z prostotą i mocą przeprowadzonej roli prokuratora - adwokata, — Wojciech Brydziński, mistrzowsko „życiowy" prezes sądu, — Helena Larys — Pawińska, Alina Żeliska (zakwitający kwiat aktorski), Gustaw Buszyński, Mieczysław Myszkiewicz — aż do najmniejszych rólek: Wronckiego, Janeckiej, Zboińskiej, Kiernickiego i Bielicza — wszyscy dobrze się zasłużyli teatrowi, autorowi i jego idei.

Teatr Nowy przeżył „górny" wieczór wiosenny.

„Szczęśliwej podróży" w teatrze „8.30"

Pomysłowe, ciekawie stylizowane dekoracje Stefana Norblina, ładna muzyka Edwarda Künnecke i jeszcze ładniejsze wkładki polskiego kompozytora Millera, śliczne toalety, zaprezentowane przez jedną z pierwszorzędnych firm warszawskich — oto zalety nowej operetki.

Reżyserja Witolda Zdzitowieckiego bardzo kulturalna, ale za mało posługująca się ołówkiem.. Poco tyle przydługich, nudnych djalogów? Poco te szablonowe dowcipy?

Werwa i humor skupiły się w rolach kreowanych przez świetnego Wojciecha Ruszkowskiego i wiośnianą Olę Obarską...

Mary Didur-Załuska braki techniki scenicznej okupuje pięknym, ciepłym głosem. Szlachetny metal dźwięczy jak zawsze — w głosie Marjana Wawrzkowicza.

Z epizodów na wyróżnienie zasługują — kapitalna komiczka Zarembina i sympatycznie groteskowy Ciborski.



MARY DIDUR (HR. ZAŁUSKA), uczenica prof. Czesława Zaremby

Występy Michała Czechowa w Warszawie

(m.). Michał Czechow, szumnie reklamowany przez swoich impresarjów, jako „najznakomitszy aktor świata", przybył do Warszawy nie z rolą, którąby dać mogła pełne wyobrażenie o jego indywidualności, ale z szeregiem jednoaktówek, przerobionych na scenę z nowel A. Czechowa. Te skecze, — przedstawiające dawno przeżyte typy z przedwojennej Rosji — są obecnie anachronistyczne, a od nas psychicznie bardzo dalekie...



M. A. Czechow w roli studenta rosyjskiego

To też chwilami dłużyło się to, ciągnęło w nieskończoność, pomimo, że Czechow i jego partnerzy Dawydowa, Gromow, Krzemieniecki grali dobrze...

Obserwując wypracowane precyzyjnie, naturalistycznie trochę przejaskrawione— postacie, dochodzimy do przekonania, że zarówno te figury, jak i sposób gry Czechowa odbiegają silnie od współczesności...

Czechow jest niewątpliwie aktorem doskonałym, ale nie jest ani „najznakomitszym aktorem świata" ani, przedewszystkiem, aktorem współczesnym...

J. M.

W kilku wierszach

K. Sterling był autorem dramatycznym

We wspomnieniach pośmiertnych o znakomitym prawniku i adwokacie warszawskim Kazimierzu Sterlingu, pominięto fakt, iż zmarły poświęcał się również pracy literackiej w dziale krytyki i twórczości, drukując — zwłaszcza w okresie przedwojennym — cały szereg utworów w tygodnikach i miesięcznikach warszawskich.

Mając wybitne zamiłowanie do teatru, Kazimierz Sterling był przez kilka lat krytykiem teatralnym, a przed laty dwudziestukilku napisał i wystawił na scenie wcale udatną jednoaktówkę p. t. *„Sobotni wieczór"*, którą krytyka ówczesna przyjęła bardzo życzliwie.

Inflacja premjer w Warszawie

W jednym tygodniu — między dniem 1 a 8 maja — zapowiedziano w teatrach warszawskich ni mniej ni więcej tylko 7 premjer! Tyle, ile dni w tygodniu. A więc: w Teatrze Nowym prapremjera Juljusza Wirskiego *„Kwadrans przed świtem"*, w Bandzie: *„Pociąg Żarty-Skecz"*, w Morskiem Oku: operetka Souppé'go *„Boccacio"*, w Teatrze Narodowym komedja angielska N. Coward'a *„Wir"*, w Teatrze Letnim komedja M. Achard'a *„Trzeba mieć szczęście" (Mis. tigri)*, w Teatrze Polskim *„Ptaki"* według Arystofanesa wreszcie w Teatrze Kameralnym Adwentowicza prapremjera nowego polskiego autora, mecenasa Zygmunta Hofmokl-Ostrowskiego p. t. *„Zabawka"*.

Pracowity tydzień dla krytyków teatralnych i dla bywalców premjerowych!

„Wiecznie młoda" Mistinguett w Warszawie

(m.). Do Warszawy przybyła wraz ze swoim zespołem słynna „gwiazda" rewji paryskiej — Mistinguett.

Mistinguett!... — nazwisko to opromienione jest dzisiaj czemś w rodzaju legendy.

Bo oto przed trzydziestu laty, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, Mistinguett już była głośną „vedette", która lansowała tak bardzo popularną piosenkę „La petite Tonkinoise" — zwaną w Polsce pod nazwą „Mukdeneczki".

Przyszła potem wielka wojna światowa, przyszły przewroty, rewolucje, zmiany ustrojów, padały trony i wiele, wiele „gwiazd" na firmamencie sztuki zgasło, zasnuło się mgłą zapomnienia... Odrzucono gorsety, kobiety obcięły włosy, spódniczka skróciła się powyżej kolan, i znowu przydłużyła się aż do ziemi, narodził się nowoczesny „vamp", nadpłynęła fala platynowych blondynek, a Mistinguett ciągle jeszcze trwa na swojem stanowisku— zawsze młoda, świeża, porywająca ze swoim klasycznie promiennym uśmiechem, odsłaniającym prześliczne zęby — podobno dotychczas własne...

Nogi Mistinguett — smukłe, sprężyste, bez zarzutu wyrzeźbione — podziwia Pa-



MISTINGUETT

ryż i cały świat, pomimo, że na „Vedettę" po przedstawieniu oczekują w aucie jej dorastające wnuki...

Fascynująco ochrypły głosik „gwiazdy" — Mistinguett wynalazła sztukę śpiewania bez głosu na długo przed Zulą Pogorzelską i Marleną Dietrich — nie przestaje czarować swoistym wdziękiem.

Mistinguett nie ukrywa swego wieku — ona nim już kokietuje, wysuwając tę swoją wieczystą młodość, jako specjalną pikanterję.

Kiedy pewnego razu zapytano tę następczynię słynnej Ninon de Lenclos, tę najbardziej uroczą „babcię" rewji paryskiej — czy zażyła jakiś eliksir młodości — odpowiedziała:

— Mój eliksir — to praca, nieustanna praca!... A oprócz pracy — twierdzą wtajemniczeni — miłość, która zawsze kierowana ku młodym i pięknym objektom podnieca energję i siłę żywotną Mistinguett.

Rewolucja w Pikutkowie

Codzienne wyprowadzanie z Teatru Ateneum do aresztu policyjnego przestało być atrakcją dla komunistycznych widzów z galerji i ma się już ku końcowi. Chińczyki krzyczą jeszcze wprawdzie, ale — wbrew Wyspiańskiemu — nie trzymają się mocno. Żółtą zamorską rewolucję zastąpi wnet inna — „W Pikutkowie", Robi ją także Leon Schiller.

Podobno u żydów na Smoczej Chiny znalazły większy posłuch i ryczą bez przerwy już trzeci miesiąc.

Historyjki paryskie

ZMIANA KOLORÓW...

Jak wiadomo, Sacha Guitry przez szereg lat pisał swoje wesołe komedje dla słynnej z urody i prześlicznych blond włosów — Iwony P. W tym samym czasie inny znakomity autor Henryk Bernstein wielbił brunetki i obsadzał w swoich dramatach pewną piękną czarnowłosą artystkę paryską..

Nagle pojawiła się na afiszu nowa sztuka Bernsteina *„Le bonheur"* i bohaterką bernsteinowskiego szczęścia okazała się tym razem jasnowłosa Iwona! A jednocześnie w nowej komedji Sachy Guitry w innym teatrze wystąpiła w roli głównej — utalentowana brunetka...

Ta „zmiana dam" wywołała wielką sensację i ożywione komentarze w kuluarach na obu premjerach.

Pewien dowcipniś premjerowy tak ujął tę ważną „sprawę dnia" paryskiego:

— Jeżeli panie artystki nie pójdą jutro do fryzjerów i nie zmienią swoich kolorów (co przecież jest drobiazgiem), to może nastąpić rzecz poważna.

— Mianowicie?

— Sacha Guitry zacznie pisać poważne dramaty psychologiczne, a Henryk Bernstein lekkie swawolne komedyjki...

Kronika muzyczna

Wielkopolska i Śląsk przodują chlubnie w rozwoju i popularyzacji muzyki chóralnej — bardzo zaniedbanej w innych dzielnicach.

W Poznaniu odbył się doroczny walny zjazd delegatów Wielkopolskiego Związku Kół Śpiewaczych. Przybyło nań z górą 200 przedstawicieli 300 kół, grupujących przeszło 15.000 członków. Przewodniczył prezes Związku, pos. Surzyński. Uchwalono, między innemi, zwołanie, z okazji 40-lecia istnienia Związku, Zjazdu wszystkich członków do Poznania, na dzień 17 września r. b.

Analogiczny zjazd doroczny Związku Śląskich Kół Śpiewaczych odbył się w Katowicach pod przewodnictwem dyr. Stoińskiego.

*

Ciekawą opinję wypowiedział p. Fernand Oury, prezes francuskiego Związku handlu fortepianowego i organowego. Wbrew utartemu twierdzeniu, że radiofonja, kino dźwiękowe i muzyka elektromechaniczna zabijają handel instrumentowy, utrzymuje on, że przeciwnie, daje się zauważyć wzrost — i to znaczny — pomimo kryzysu, obrotu w tej dziedzinie. Zainteresowania muzyką są coraz żywsze, zarówno w sensie jakości, jak ilości produkcji.

*

Mascagni wykończa nową operę p. t. „Neron" do libretta, osnutego na tle dramatu Piotra Cossa.

Z okazji 100-lecia urodzin J. Brahmsa odbędzie się w Wiedniu szereg uroczystości muzycznych. Między 16—21 maja wystąpią między innemi takie sławy, jak Furtwängler, Huberman, Casals, Schnabel, Hindemith.

Tymczasem w Niemczech zakazano obchodu jubileuszu, ponieważ odkryto, że matka genjalnego kompozytora była semitką.

*

Prześladowani przez „cywilizowanych barbarzyńców" znakomici dyrygenci, Otto Klemperer i Bruno Walter jadą do Moskwy, by objąć na stałe stanowisko kapelmistrzów moskiewskiej Filharmonji.

Szkoda, że i nasi Filharmonicy nie pomyśleli o czemś podobnem: jedyna okazja, by nareszcie dać Warszawie pierwszorzędnego kapelmistrza, za którym tęskni całe pokolenie.

Nowi przyjaciele Polski w Ameryce



W Stanach Zjednoczonych powstała nowa organizacja, mająca na celu zbliżenie intelektualne z Polską: Uniwersyteccy Przyjaciele Polski (University Friends of Poland). Stowarzyszenie to założono zaledwie przed paroma miesiącami, a liczy już obecnie 43 członków. Są to wszystko profesorowie uniwersytetów amerykańskich, czy to pochodzenia polskiego, czy tylko sympatyzujący i interesujący się naszą ojczyzną. Lista ta jeszcze powiększy się, gdyż na wszechnicach amerykańskich wykłada conajmniej 50 Polaków. Zdjęcie powyższe przedstawia inicjatorów nowego stowarzyszenia; siedzą od lewej: dr. S. Pietrowicz, prof. Uniw. Loyola, dr. T. Zbyszewski, konsul gen. w Chicago, prof. E. Menge Komorowski z Uniw. Marquette, prezes towarzystwa; stoją od lewej: dr. A. Sampoliński, prof. Uniw. Loyola, Paweł Fox, prof. Uniw. Northwestern, I. Tykociner, prof. Uniw. Illinojskiego i wicekonsul Rathaus..

DOUGHLAS NEWTON

Handlarz włosia

(NOWELKA)

Hurtsey, który od lat był paserem, uczuł nagle, że szczęście go opuszcza. Nie było wątpliwości — policja go tropi.

Poznał to w chwili, gdy stojąc na platformie motorówki, ujrzał grubego, czerwonego jegomościa, który go bacznie obserwował. Ten sam jegomość towarzyszył mu w pociągu, a teraz wsiadł razem z nim na statek. Człowiek ten był niezawodnie „gliną" i śledził go.

Hurtsey wiedział, że prędzej czy później skończy swą karjerę, która tak interesowała policję. W paszporcie figurował jako agent, pośredniczący w sprzedaży koziego i krowiego włosia.

Jestto produkt używany przez mularzy, po wymieszaniu z wapnem, dla umacniania sufitów.

Rzemiosło to dostarczało mu alibi: — któż mógł podejrzewać handlarza tak niewinnego produktu, jak włos kozi? Ułatwiało mu to też częste podróże do Hamburga, w którym istnieje wielka fabryka oczyszczania i preparowania włosia.

Prawdziwem rzemiosłem Hurtsey'a był jednak handel kradzionemi brylantami.

Gdy złodziej chciał sprzedać biżuterję, przynosił ją do pasera, który zręcznie wyjmował kamienie z oprawy i przewoził na kontynent, starannie ukryte w zwojach włosia. Tam znajdował dyskretnych odbiorców, którzy nie zadawali niedelikatnych pytań.

Hurtsey był doskonałym agentem w swojej branży. Uczciwy i energiczny, znał się na wartości kamieni i umiał je spieniężyć, biorąc sporą prowizję dla siebie.

Z drugiej strony, jako sprzedawca włosia, miał wyrobioną pozycję — celnicy i detektywi witali go jak starego przyjaciela, nigdy o nic nie podejrzewając.

Ale każdy człowiek może mieć pecha i ten fatalny moment się zdarzył.

Hurtsey już miał złe przeczucie parę dni temu, gdy się dowiedział o wielkiej obławie, urządzonej przez policję na złodziei.

Przytem okazja była wyjątkowa — dwadzieścia brylantów wartości 40.000 funtów. Powinien dostać co najmniej 6.000 funtów. Była to wspaniała złodziejska sztuka; niestety, zły los stawał na przeszkodzie.

Co gorsze, Crace, który mu te kamienie powierzył, był niemiłym kompanem. Podejrzliwy, nieufny, nie wierzył w honor złodziejski i był gotów wrazie utraty brylantów mścić się srogo.

Znając niebezpieczeństwo swego zawodu, Hurtsey był przezorny. Ukrywał kamienie w taki sposób, aby módz się ich pozbyć w tragicznej chwili i uniknąć aresztowania. Tak też było i z temi brylantami.

Hurtsey wyszedł na pomost i oparł się o barjerę, mając tuż przy sobie obmierzłego grubego detektywa.

— Napewno zaaresztuje mnie tu na statku, nie czekając, aż dopłyniemy do portu — pomyślał.

Nagle nieznajomy podszedł do Hurtsey'a i zapytał groźnie:

— Czy pańskie nazwisko Hurtsey?

— Tak jest, brzmiała odpowiedź.

— Podaje się pan za sprzedawcę włosia?

— Jestem sprzedawcą włosia, — odpowiedział Hurtsey.

— Pan kłamie! Pan jest oszustem.

— Pan szuka zaczepki, — z godnością rzekł Hurtsey i, otwierając papierośnicę, wyjął jedno z grubych cygar, które się tam znajdowały.

— Jest pan oszustem i nareszcie pana mam — głośno wołał nieznajomy.

— A pan jest warjatem. Proszę się odczepić.

Agent chwycił Hurtsey'a za ramię. Zaczęli się szamotać, podczas walki papierośnica spadła na pokład, a za chwilę wiatr zmiótł ją do morza.

Hurtsey zaklął:

— Do djabła z tym awanturnikiem — i w dodatku straciłem doskonałe cygara.

W duszy jednak winszował sobie, że nie znajdą przy nim corpus delicti; — brylanty ukryte były w cygarach.

Klnąc dał się zaprowadzić do kabiny. Detektyw miotał się wściekle:

— Skończyły się pańskie sztuczki! Jestem Branton i Syn. Chyba pamięta pan naszą firmę? Ostatni towar, dostarczony przez pana, okazał się kiepskim szwindlem. Grubo straciliśmy na tem.

— Włoś! — zajęczał Hurtsey.

— A cóżby innego? Pan nas rozmyślnie oszukał.

— I pan mnie napastował z powodu głupiego włosia? — krzyknął zrozpaczony Hurtsey.

— Naturalnie, chodzi mi o włoś, tylko o włoś — wołał zaperzony przeciwnik.

Brylanty wartości 40.000 f. rzucone do morza, spodziewana złość i zemsta Crace'a — wszystko to doprowadziło Hurtsey'a do furji. — Walił bez miłosierdzia swego prześladowcę. Z trudnością zdołano ich rozdzielić.

Po wyjaśnieniu sprawy, wrócił do kraju, aby wyznać Crace'owi, że stracił cenne brylanty z powodu „koziego włosia".

Tłum. *Jadw. Pietraszkiewiczowa*

Humor

DIVA...

Z powodu projektowanych w Warszawie występów „boskiej Mistinguette" opowiadają sobie, iż impresarjo artystki na Polskę ma zamiar zwrócić się do przedstawicieli prasy z prośbą, aby pisząc o znakomitej divie nie nazywali jej *star*-ą (po angielsku: gwiazda)...

Wraz ze słońcem

Z każdym dniem słonecznym chętnie uciekamy z miasta na pola, łąki i lasy. Ruch wycieczkowy u nas w kraju rośnie z każdym sezonem letnim. Celów dla krótszych i dalszych wycieczek nie brakinie. Mamy piękne rzeki, jeziora, góry i morze. Rozpoczynając sezon wycieczek, robimy sobie różne higjeniczne postanowienia. Pierwsze jednak doświadczenia wykazują, że papierosa nie potrafimy sobie odmówić — to już ponad nasze siły. Zresztą walka ze sobą samym zatrułaby nam całą przyjemność wycieczki. Polski Monopol Tytoniowy doskonale jednak pogodził miłe z higjenicznem w dążeniu do stuprocentowego zadowolenia palacza. Mianowicie, wyrabia on papierosy odnikotynowane. Niektóre gatunki znajdują się już w sprzedaży, pozostałe zaś możemy otrzymać za zamówieniem. Papierosy wyrobu Polskiego Monopolu Tytoniowego są odnikotynowane w drodze chemicznej, nie zaś zapomocą filtrów mechanicznych, które nie dają pożądanych rezultatów.

S. W.

Kobieca ekspedycja archeologiczna

Chyba najmniej odpowiednim zawodem dla kobiety jest archeologja. Wszak kobieta — uosobienie wiecznej nowości, ciągłych zmian, jest żywem przeciwieństwem starożytności, zmurszałej, zamierzchłej, przysypanej piaskami, kryjącej się w ruinach i wnętrzach mogił.

A jednak i na tem polu pojawiły się forpoczty kobiecej inwazji.

Głośnem echem odbiła się w sferach naukowych wyprawa kobiecej ekspedycji archeologicznej do Rhodezji, uwieńczona poważnym sukcesem. Ekspedycję tę prowadziła młoda Angielka, miss Gertruda Caton - Thompson, wybitnie uzdolniony archeolog, a towarzyszyły jej fotograf Dorothy Dorie i córka dyrektora Muzeum Brytyjskiego, Katherine Kenyon. Celem ekspedycji było odszukanie biblijnych kopalni złota Salomona.

Miss Caton-Thompson udała się do Południowej Afryki na zaproszenie władz Rhodezji i Brytyjskiego Towarzystwa Archeologicznego. I oto w pobliżu starożytnego miasta Zimbabire, w miejscowości Ophir natrafiono istotnie na wejście do starożytnej kopalni złota, która według orzeczeń uczonych jest właśnie ową biblijną kopalnią, z której wysłańcy króla Salomona wydobywali niezliczone ilości złota. Złoża rudy złotodajnej, niezwykle w tem miejscu obfite, jeszcze dziś — zdaniem ekspertów — mogą dostarczyć wielkich ilości złota, wobec czego ma być podjęta ich eksploatacja.

Słowem, odkrycie miss Thompson posiada nietylko historyczno-archeologiczne, lecz również wielkie ekonomiczne znaczenie.

Stąd wniosek prosty: gdzie mężczyźni nic nie znajdą, tam trzeba posłać — kobietę.

W K.—W.

Na via dolarosa

(MONOLOG)

— Czemu jestem blady i smutny? Chciałbym widzieć pana na mojem miejscu, czybyś pan zachował pogodę duchową! Dobrze panu uśmiechać się, kiedy nic pan nie ma i nic pan nie traci. Ale ja, który z każdą minutą jestem biedniejszy! Nie jem, nie piję, na nic nie wydaję, a pomimo to tracę. Już wolałbym, żeby mi raz powiedzieli: panie, przestań się pan łudzić; dolar równa się zeru. Byłby to humanitarny sposób i wiedziałbym, że nic nie mam. Przecież psu nie obcina się ogona kawałkami, lecz jednem cięciem. Żaden pies nie wytrzymałby takiej operacji, jakiej mnie poddają. Kupuję rano gazetkę. Zaglądam z biciem serca. Patrzę 8.25. A ja przecież płaciłem 8.98 żywą gotówką, krwawicą z pod serca wydartą! Zaglądam popołudniu: 8.10! I nie bądź tu smutny i nie bądź tu blady. I to już trwa przeszło tydzień. Końskie zdrowie trzeba mieć, żeby wytrzymać.

— Niekiedy to już poprostu znęcają się nademną. Było rano, na ten przykład powiedziawszy, 7.90. Biorę gazetkę popołudniową: 8, a nawet 8.10. Zaczynam nabierać otuchy. Nadzieja w serce wstępuje. Już taki jest przecież człowiek. Całe życie niczby nie robił, tylko by się łudził. Zaglądam nazajutrz: 7.70, 7.60. Tendencja — piszą — dla dolara zniżkowa. Czy to nie jest sadyzm? Czy to nie jest znęcanie się nad niewinnym człowiekiem? Czy nie tak robili czekiści z G. P. U., że skazanego na rozstrzelenie zwodzili widokami ułaskawienia, widokami życia i wolności?!

— A wiesz pan, kto wszystkiemu winien? Kolumb! Tak, tak, panie, Krzysztof Kolumb, ten sławny Kolumb. Siedziałby ten Włoch w swojem mieście i handlem albo innem uczciwem rzemiosłem się zajął. Ale nie. Jemu drogi do Indyj się zachciało. Włóczykij, globfroter! Była przecież droga do Indyj, ale jemu potrzebna była nowa droga. Lubię ja tych wszystkich, co to zamiast chodzić staremi, przez ojców i dziadów utartemi ścieżkami, szukają nowych dróg! Ale mniejsza o to. Chcesz nowej drogi do Indyj? Szukaj sobie z Bogiem, ale czego chcesz od Ameryki? Skoro widzisz, że to nie Indje, tylko Ameryka, to się mówi: przepraszam, pomyłka, i wycofujesz się w porządku. Przecież każdemu z nas już się zdarzyło, że zamiast do swego mieszkania, zapukał do cudzego. Gdy wszakże zauważymy pomyłkę, to wycofujemy się i idziemy o piętro niżej lub wyżej. Kolumb — inaczej. Jakgdyby nic pilniejszego nie miał do roboty, odkrywa Amerykę.

— Nawiasem mówiąc, było to nawet nieuczciwością z jego strony. Pieniądze, które dostał na odkrycie drogi do Indyj, użył na odkrycie Ameryki. To się kłóci z elementarnemi zasadami budżetowania

— Pytasz się pan, co to wszystko ma do rzeczy? A ma. Bo gdyby ten obieżyświat nie odkrył Ameryki, nie znalibyśmy dolara; gdybyśmy nie znali dolara, jabym lokował moje oszczędności w innej walucie; gdybym lokował w innej walucie, nie traciłbym dzień i noc na dolarze i nie byłbym smutny i nie byłbym blady. Pan się uśmiechasz? Naturalnie, kogo nie boli, temu po woli.

— Co pan powiada?... Że znowu spadł?... 7.50? Oj, dolarze, ty mój niedolarzu!

Dlaczego łysiejemy przedwcześnie?

Liczne doświadczenia specjalistów chorób włosów wykazały niezbicie, iż najczęstszą przyczyną wypadania i zanikania włosów stanowią kwasy tłuszczowe, owe produkty jełczenia tłuszczu skóry głowy. Zobojętniając stale raz na tydzień owe — skórę drażniące — kwasy, przy pomocy mycia głowy gorącą niemal wodą i Shampoonem Dra Lustra, osiąga się zbawienny skutek zapobiegawczy. Do mycia głowy nie nadaje się żółtko, ponieważ zgoła nie zobojętnia kwasów, mydło zaś potęguje przypadłości łojotokowe, z powodu zawartości w niem kwasów tłuszczowych. Myjąc przeto głowę często preparatem, dostosowanym ściśle do właściwości skóry głowy, zwalcza się skutecznie marnienie włosów.

OBYWATEL Z ROKU 1827

Najstarszy człowiek w Warszawie.

W schludnem i zacisznem schronisku Warsz. Towarzystwa Dobroczynności mieszka od kilku lat pan Antoni Kozłowski. Osiadł po burzach i troskach żywota wśród trzystu kilkudziesięciu staruszków, by cieszyć się jeszcze tą ilością dni, jaka mu pozostała i tu dokończyć żywota. Pan Kozłowski już drugi wiek dźwiga na swoich barkach, urodził się bowiem w roku pańskim 1827!...

Poznaliśmy się w pochmurny, kwietniowy dzień. Z głębi średniowiecznego podwórza, po którem ongiś błądziły rozmodlone Karmelitanki Bose, drepcze niski, rzeźki staruszek w długim, szarym kitlu, jaki noszą pensjonarjusze schroniska. Jest drobny i maleńki, najwyżej metr pięćdziesiąt wysokości. Okrągła, rumiana twarz, ozdobiona srebrnym, polskim wąsem; niewielką łysinkę okala wcale bujna czupryna. Nieduże, blado niebieskie, lekko załzawione oczy, mimo, że już tyle widziały, spoglądają na świat Boży z dziecięcą pogodą i ufnością.

Powoli, z małemi przystankami, niezbędnemi widocznie dla zebrania pamięci, zaczyna pan Kozłowski opowiadać o sobie. Ojciec jego pracował w Szczukach, majątku hr. Krasińskiego, lecz jedynak jego — Antoni urodził się w Warszawie i został ochrzczony w kościele św. Aleksandra, co z dumą podkreśla. Bywał na wozie i pod wozem. Długie lata pracował, jako pomocnik ogrodnika w Łazienkach i wtedy najlepiej mu się działo. Czasy te wspomina z rozrzewnieniem:

— Pilnowałem bramy, a jak przyjechał dorożką pan z panienką, to zawsze za otwarcie dostawałem rubelka. W lecie nieraz się po dziesięć i więcej dziennie zbierało... Teraz to chyba niema takiego państwa? — szare oczki wpatrują się we mnie pytająco.

Pan Kozłowski widział także cara, a nawet rozmawiał z nim i też dostał rubelka. Tylko nie pamięta, który to był cesarz. Pewno, jeden z Aleksandrów.

— Przyjechał, parę godzin posiedział, pochodził z oficerami po parku i już go nie było — mówi po dłuższej chwili namysłu.

Zatarte i jakby zamglone są także wspomnienia pana Kozłowskiego, dotyczące tragicznego roku 63-ego w którego wypadkach bezpośrednio udziału nie brał.

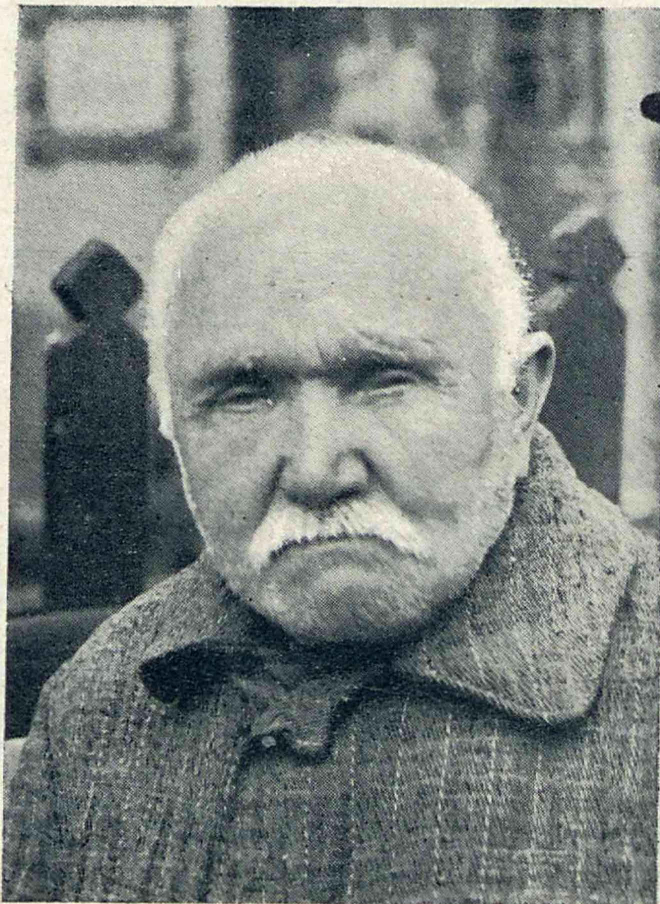
— Biegało polskie i moskiewskie wojsko po ulicach, były gdzieś straszne bitwy, a potem wielki płacz i żałoba. Ludzie jeszcze smutniejsi chodzili, aż wreszcie wszystko się uspokoiło...

Po latach zmienił zawód, opuścił intratną posadę przy łazienkowskiej bramie i poszedł szukać szczęścia u jubilera Kędzierskiego przy ul. Marszałkowskiej 68.

— Jakem tam nastał za służącego, to na Marszałkowskiej zaledwie kilka kamienic stojało... Dokoła były cegielnie, glinianki, rozpadliny i wyboje. Strach było nocą wyjść, żeby człowieka z odzienia i pieniędzy nie obdarli....

— Co prawda to i teraz obdzierają — myślę sobie, lecz milczę, nie chcąc rozwiewać złudzeń staruszka, co do warunków życia w stolicy.

U jubilera uciułał sobie trochę gotówki, a kiedy jego pryncypał padł ofiarą napadu bandyckiego zagranicą, pan Kozłowski kupił jednokonkę, żwawą szkapinę i rozpoczął beztroski żywot dorożkarza.



Antoni Kozłowski

— Jeździłem sobie po całej Warszawie, woziłem panów i panienki i dobrze mi się działo — opowiada. — W aleje na spacer, do Angielskiego i Europy porządne państwo woziłem. Dopiero w czasie rewolucji stało się nieszczęście...

— Jakie nieszczęście?...

— W 1905 roku na placu Grzybowskim zabili mi konia... Na drugiego pieniędzy nie miałem, zresztą było już bardzo drogo. Stary też człowiek był, chciał odpocząć.

Podczas pogawędki stwierdzam, że staruszek lubi czystość i porządek. Przez cały czas strąca palcami ledwie widoczne pyłki z klap mego palta.

— Zdrowie panu dopisuje?... pytam.

Kozłowski śmieje się radośnie:

— Zdrów jestem, chwalić Boga, zupełnie. Śpię dobrze, spaceruję, apetyt mam... Jak mi się chce jeść, to mnie zaraz brzucho boli — rechocze krotochwilnie.

— A wódkę pan pił?

— Pijakiem to nie byłem i nie jestem, ale jak się kompanja i okazja zdarzyła, tom kieliszkiem nie gardził. Zresztą, proszę pana, taki co kieliszka do ręki nie bierze, to nie jest człowiek...

W zupełności podzielając zdanie sędziwego staruszka, zapytuję, co porabia po całych dniach.

— A no chodzę za gospodarzem... (ma na myśli administratora schroniska) i doglądam, czy wszystko w porządku. Wszędzie trzeba zajrzeć...

Pan Kozłowski należy do najruchliwszych pensjonarjuszy. Od wczesnego świtu do zmierzchu wszędzie go pełno. Na podwórzu, w stolarni, gdzie udziela fachowych rad. Odwiedza chorych kolegów, przekomarza się ze zdrowymi, słowem, nie traci dnia bożego na bezczynnem siedzeniu. A kiedy wiosna zazieleni drzewa, najchętniej przesiaduje w ogródku, krząta się koło młodych roślinek i cieszy się życiem.

— Proszę pana — odciąga mnie na bok, przysłuchujący się naszej rozmowie siwobrody kolejarz. — Kozłowski to jeszcze do panienek chodzi...

— Niech pan nie wierzy... oponuje Kozłowski — tego smarkacza zawsze się głupstwa trzymają..

„Smarkacz" ma... 87 lat.

Okazuje się, że w schronisku nie brak sędziwych przedstawicielek płci pięknej, które mają w Kozłowskim gorącego, choć platonicznego wielbiciela. Odwiedza je często, prawi komplementy, na jakie nie zdobyłby się żaden współczesny młodzieniec, przekomarza się, a czasem płata niewinne psikusy. Mimo energicznego zaprzeczenia uśmiecha się figlarnie, łobuzersko przymrużając oczy. Najwidoczniej dumny jest z opinji lowelasa.

Zapada milczenie. Stojąc na środku sporego podwórza, otoczonego czworobokiem poklasztornych zabudowań, patrzę na maleńkiego, czerstwego staruszka, który ma 106 lat.

Sto lat... pojęcie, którem operujemy tak często, wymawiamy jak banalną cyfrę, a jakżeż ona trudna do ujęcia, gdy chodzi o życie ludzkie. Ileż zdarzeń przesunęło się przez ten czas? Dwa powstania, pamiętny rok 1848, rewolucja, wojna światowa, niepodległość. Drobny ten staruszek widział to wszystko.

Gdyby można w całości rozwinąć film tego mózgu, wyświetlić go dzień po dniu. Powstałaby może opowieść szara, nieco monotonna, lecz jakżeż ciekawa.

Pan Kozłowski, strząsając znowu jakiś niewidoczny pyłek na mojem palcie, spogląda w niebo. Oczy stają się uważne, skupione, pod siwemi wąsami błąka się cień uśmiechu. Coś widocznie sobie przypomina, coś mu się roi, rozwija się jakiś fragment filmu. Może cofnął się pamięcią o rok, a może o wiek cały. Kto wie...

Żegnamy się. Staruszek silnie ściska moją rękę, a potem uśmiechając się urwisosko, końcami palców rzuca mi... całusa.

j. s. w.

Z żałobnej karty

Ś. P. INŻYNIER FELIKS RABEK

Ś. p. Feliks Rabek urodził się w Siedlcach w 1864 r., po ukończeniu gimnazjum siedleckiego wyjechał do Petersburga i tam wstąpił do Instytutu Inżynierów Dróg



Ś. p. inżynier Feliks Rabek

i Mostów. Będąc studentem przyjmował żywy udział w działalności społecznej, w następstwie czego za przyjmowanie wybitnego udziału w kółku oświatowem, został uwięziony w słynnych „Krestach". Po wypuszczeniu na wolność oddano Go pod nadzór na przeciąg dwóch lat. Po otrzymaniu dyplomu inżyniera komunikacji, powrócił do kraju i tu objął na kolei Warszawsko - Wiedeńskiej stanowisko pomocnika naczelnika dystansu, początkowo we Włocławku i Zubkowicach, następnie zaś w 1902 r. w Warszawie. W 1905 r. otrzymał nominację na naczelnika dystansu w Kaliszu, gdzie kierował budową drogi kolejowej do pogranicznej stacji Szczypiorna. Podczas wojny był ewakuowany do Moskwy — gdzie zajmował stanowisko naczelnika wojennego pociągu remontowego. Po ukończonej wojnie powrócił do Warszawy i tu został powołany na stanowisko dyrektora Wydziału Zasobów w radomskiej dyrekcji kolejowej. W 1929 r. przeszedł w stan zasłużonego, po wyczerpującej pracy całego swego życia — spoczynku.

Za wybitne trudy, podjęte przy budowie linji kolejowej Kalisz—Szczypiorna, zmarły inżynier został nagrodzony żetonem, będącym za czasów niewoli rosyjskiej poważną odznaką honorową.

Ś. p. Feliks Rabek rozstał się z tym światem dn. 25 kwietnia r. b., pozostawiając żonę Zofję, córkę historyka Walerego Przyborowskiego.

Spoczął na cmentarzu Powązkowskim. Cześć pamięci człowieka zasługi

Ś.P. BRONISŁAW GAŁCZYŃSKI

Ś. p. Bronisław Gałczyński, doktór filozofji, pomolog, właściciel wzorowego ogrodu owocowego i kwiatowego w Piasecznie, zmarł dn. 21 kwietnia r. b.

Któż ze stołecznych miłośników przyrody nie znał miłej siedziby pod Piasecznem, słynącej z rosarium i ze szkółek drzew owocowych? Któryż z Polaków, interesujących się ogrodnictwem, nie czytał pięknych książek: „Ogród dochodowy", „Róża w ogrodzie", a także broszurek popularnych: „Ogród warzywny", „Ogród owocowy", „Ogród kwiatowy", „Ogródek na 200 metrach"

Z tych pożytecznych wydawnictw tchnęło umiłowanie drzew i kwiatów, umiłowanie całej przyrody. Ale mieściło się w nich też mnóstwo rad praktycznych, niezbędnych dla posiadaczy ogródków, wysnutych z osobistego doświadczenia, dostosowanych do warunków polskich.

Autor tych dzieł, można powiedzieć arcydzieł w dziedzinie ogrodnictwa nie żyje! Zmarł w pełni rozwoju sił, nie ukończywszy wielkiego zadania, jakie podjął: rozbudzenia w Polsce zamiłowania do ogrodnictwa i postawienia go na takim poziomie, aby mogło się stać dźwignią bogactwa krajowego i ozdobą życia ludzkiego.



Ś. p. Bronisław Gałczyński

Zapoczątkowana wspaniale praca została nagle przerwana, entuzjazm zgaszony, nagromadzone skarby wiedzy specjalnej zniszczone. Dokonała tego nieubłagana śmierć, zabierając nagle ś. p. Bronisława Gałczyńskiego. Ale pamięć o Nim i dzieło Jego życia — nie zaginie.

W. G.

Z dziedziny kosmetyki

Lato, a więc słońce i upały! Słońce, do którego wzdychamy i którym się cieszymy, a które jednocześnie wywiera wływ na naszą cerę: Opalenizna, piegi, łuszczenie się skóry, — oto najpoważniejsze bolączki obecnego sezonu.

Szczególniej, że cery mamy nie jednakowo wrażliwe, i nie każda z nas chciałaby się opalić, bo jej z tem niedobrze, a znów inne chciałyby wyglądać jak egipcjanki. Najwięcej cierpią panie, które dostają piegów, gdyż te psują wygląd nawet najładniejszej twarzy.

Otrzymując w tych sprawach liczne zapytania od moich klijentek, postaram się tutaj dać kilka wskazówek, co robić, aby się opalić, i co robić, aby zapobiec opaleniźnie i wygubić piegi. A więc: Panie, mające cerę śniadą, zwykle dobrze i równo opalają się na kolor bronzowo-żółty, z czem im jest bardzo do twarzy. Naturalnie opalenie się wymaga dłuższego czasu.

Aby proces opalenia przyśpieszyć, radzę stosować *Yambo olejek orzechowy Perfection,* którym przed wyjściem na słońce, namaścić twarz, ręce, szyję i wogóle te części, które chcemy, aby uległy opaleniu. Po paru godzinach zmyć olejek, najlepiej *otrąbkami Abridowemi* z ciepłą wodą. Po 3—4-ch takich zabiegach opalenizna będzie trwała i równa, i aby ją utrzymać, wystarcza powtórzyć ten zabieg raz na tydzień. Do opalonej twarzy należy używać *puder Abarid* w kolorze *Ocre, Ocre-rose,* lub *Creol,* zależnie od odcieniu opalonej cery.

Panie z białą i różową cerą opalają się na czerwono, lub dostają piegów, co jest nieestetyczne i nawet najładniejszą twarz szpeci. Żeby zapobiec opaleniźnie, trzeba nacierać twarz 3—4 razy dziennie watą zwilżoną *płynem Mimoza,* a cera będzie zawsze biała i czysta. Nawet śniadą cerę, przez płyn Mimoza, można doprowadzić do białości. Jeżeli są przytem jeszcze piegi, to na noc stosować *krem Preciozę* i przypudrować *pyłkiem Juvenia Candida.* W tych wypadkach dobrze jest pyłek *Juvenia Candida* używać zamiast pudru. *Krem Preciozę* rano zmywać w ciepłej wodzie *otrąbkami Abarid.* Środki tu wymienione wypróbowałam przez wiele lat z bardzo dobrym skutkiem, i śmiało je polecam, jako niezawodne.

M-me Ercédes.



Kryzys, jak szara, brudna mgła, osiadł wszędzie, wszystko pokrywa patyną bezbarwności i nudy. Przebija się nietylko w ruchu ulicznym, w pustkami ziejących sklepach, włóczędze bezrobotnych, lecz wciska się w progi każdego domu, czepiając się każdego przedmiotu, a przedewszystkiem sylwetki kobiecej.

Fryzjer, manicurzystka, „l'institut de beauté", ci wierni sprzymierzeńcy kobiet, — dziś, w czasach kryzysowych, dalecy i oglądani częstokroć ...w marzeniach.

Lecz ma to i dobrą stronę. Konieczność liczenia się z budżetem może stać się bodźcem do wyłamania się kobiety z ogólnego szablonu i odzyskania własnej, zewnętrznej przynajmniej indywidualności.

Dotychczas bowiem panie były niewolnicami jednostajności mody. Zamiast nagiąć ją do swych cech, pozwoliły władczyni - modzie zamienić się w szeregi umundurowanej i ostrzyżonej armji.

Z pod wprawnych rąk i żelazek fryzjera główki blondynek, brunetek, szatynek, wychodziły tak podobne do siebie, jak starannie dobrane główki kapusty, wiezione na targ przez podmiejskiego ogrodnika.

Jeśli był modniejszy kolor jasno-blond, czy rdzawo-czerwony, to w przeciągu kilku tygodni, zrazu powoli, potem gremjalnie, wszystkie możliwe odcienie włosów, które nadał paniom, gwoli odróżnienia i upiększenia łaskawy los, zmieniały się w łan pszenicy, lub rdzawy mahoń dojrzałych kasztanów.

I choć oczy płonęły czernią nocy upalnej, skóra miała mleczno-pastelowy odcień migdałów, usta kusiły miąższem wiśni, na głowie zamiast hebanu pojawiała się stereotypowa peruczka.

W rezultacie, w teatrze, na ulicy, na zebraniach towarzyskich beznadziejnie znudzony wzrok ślizgał się po kunsztownych główkach kobiecych, nie zatrzymując się na żadnej, gdyż wystarczyło spojrzeć na jedną, by wiedzieć, jak wyglądają inne i wystarczyło spojrzeć na wszystkie, by wiedzieć, jak wygląda ta — jedna.

Gdy Pani Moda wydała rozkaz najwyższy, że kolor pomadek do warg musi być ceglasty, wszędzie drażniły oczy krzykliwe, banalne, jak plakat reklamowy, ceglasto - pomarańczowe plamy imitujące usta kobiece, tak różne i tak przedziwne w swoim wyrazie: niewinne bladoróżowe jak u dziecka, świadome grzechu, czerwone jak wiśnia, wesołe, płoche jak maki polne.

Kiedy znów przyjął się barbarzyński zabieg usuwania brwi, dodający może uroku gwiazdom filmowym, twarze przeciętnych zjadaczek chleba zaczęły budzić litość. Zamiast bowiem naturalnych łuków, które tyle nadają wyrazu i charakteru twarzy kobiecej, ukazały się zaczerwienione, opuchnięte miejsca, przecięte kunsztowną niteczką.

I wówczas na twarzy o rysach mocnych, pełnych zaciętości, uporu, woli, o oczach otwartych, którym dobry Bóg dał obramowanie silne i wyraziste, po bolesnej torturze pencetki zostawały niezaradne i jakby zdziwione, że ocalały, śmieszne, sterczące na zaczerwienionym kawałku skóry w długi i cieniutki szereg wyciągnięte włoski, imitujące naturalne łuki brwi.

A ręce kobiece, które mówią same za siebie: ręce słabe i ręce, w których spoczywają losy państw, ręce matki, którym poddają się z ufnością drobne główki dziecięce i ręce kochanki, w których spoczywa serce człowieka. Wiele, wiele różnych rąk z pod narzędzi i zabiegów manikiurzystki wychodzi bliźniaczo podobnych. Jeśli jest moda na długie, ostro zakończone, bladoróżowe, lub zaczerwienione, jakby żywą krwią paznokcie, widzi się je wszędzie: u damy, wytwornym gestem rozdającej karty podczas bridga i u „pary rąk" wydających „resztę" z za okienka kasy i u dziewczątka, zręcznym ruchem pakującego paczkę z kawą lub herbatą.

Dzisiejsze warunki natomiast zmuszają przeciętną kobietę do otrząśnięcia się z tej martwoty, szablonu i wykorzystania mody w celu podkreślenia indywidualności swojej urody, bez uciekania się do częstej pomocy fryzjera, manikurzystki, „institut de beauté" i t. p. oraz do dokładnego przestudjowania swej urody, bez poddania się manierze.

Z pencetki korzystać można i trzeba jedynie w celu usunięcia włosków, które psują regularność łuków brwi. Bladoróżowe wargi należy rozkrasić karminem, ciemnym nadać kolor wiśni, pudrem podnieść biel skóry, lub jeśli jest ciemną, podkreślić ją jeszcze bardziej starannie dobranym kolorem. Przy cerze jasnej można rozjaśniać włosy aż do „platyny" włącznie, przy ciemnym naskórku nigdy nie wypada to korzystnie. Raczej wszystkie odcienie kasztanowate. Oczy jasne, w których przegląda się niebo, jeśli podkreślać, to tylko niebieską kredką.

Sposób uczesania jest problemem niewątpliwie trudnym do rozwiązania, lecz dzisiejsze zamiłowanie do oryginalności pozwala, z bardzo dobremi wynikami, wybrnąć z tych kłopotów. A że nie zawsze można dojść do korzystnych rezultatów przez użycie papilotów, przeto specjalnie ich się nie zaleca. Papilotami bowiem można raz na zawsze rozgrzeszyć męża lub kochanka z wszelkich zdrad.

Pozostaje na usługach pani tak wiele różnych fryzur, które umiejętnie zastosowane i dobrane podkreślać będą jej odrębność i indywidualność.

Dla twarzyczek o rysach czystych najodpowiedniejsze będą gładko przyczesane, w mocny węzeł zwinięte i nisko upięte włosy; rysom mniej regularnym dodają wiele uroku paziowskie fryzury. Przy sylwetkach wysportowanych, ultra modern, wdzięcznie i oryginalnie wyglądają główki krótko ostrzyżone, brzeżkiem kunsztownie strzępiastym okalające całą twarz i wiele innych.

To samo z paznokciami. Przy mozolnych i cierpliwych staraniach można dojść do wprawy, może nie takiej, jaką posiadają manicurzystki, lecz zupełnie wystarczającej, by swoim paznokietkom nadać wyraz i staranny wygląd.

Skorzystajmy więc z kłopotów kryzysowych, które może nieprędko się skończą i nie powierzając obcym, zmechanizowanym dłoniom zabiegów o swoją urodę, wyzwólmy się z szablonu, a stwarzajmy typ własny.

A wówczas znowu więcej będzie kobiet, niż manekinów, ku radości „panów stworzenia", a także i naszej własnej.

JANINA GASSON

Mody wiosenne



Kostjum wełniany z pelerynką; pod spodem biała pikowa bluzka. Zapięcie na duże drewniane guziki



Robe-manteau z wełny; pelerynka fantazyjna, obramowana nurkami

Blado zielony kapelusz z cieniowanemi zielonemi kwiatami





Kapelusik z Tagalu, obwiedziony aksamitką, ztyłu kwiaty



Kostjum wełniany z zaznaczoną pelerynką

Kapelusz z delikatnej słomki z płaską główką, przybraną jedwabną wstążką





Szykowna długa kamizelka (Overslip) z materjału Rodier; bluzka pasiasta. Kapelusz koloru sukni

Przyszły sezon filmowy

CO ZAPOWIADAJĄ W POLSCE?

Na niezwykłe ożywienie w polskiej produkcji kinematograficznej wpłynęły w tym roku dwa czynniki: bojkot filmów niemieckich i znaczne ograniczenie produkcji amerykańskiej. Filmy niemieckie, które zresztą były do nas przemycane w wersji francuskiej lub czeskiej, straciły narazie możność uzyskania prawa obywatelstwa na polskim ekranie.

W Ameryce największe wytwórnie, jak Paramount, Metro, Fox i Universal, zapowiadają sprowadzenie do Polski w nadchodzącym sezonie zaledwie około 80 filmów. Na ograniczenie to wpłynął w pierwszym rzędzie kryzys, który nawet i tym potentatom filmowym mocno dokuczył w ubiegłym sezonie.

Dzięki więc tym dwum czynnikom polska produkcja ma obecnie duże pole do popisu. Ze wszystkich stron nadchodzą wieści o „kręceniu". Na przyszły sezon zapowiadają:

Reż. H. Szaro, twórca filmu „Na Sybir", nakręca obecnie „Dzieje Grzechu", według powieści Żeromskiego. Zespół aktorski tego filmu przedstawia się wprost rewelacyjnie: K. Lubieńska, M. Dulęba, D. Damięcki (debjutant, aktor teatru „Ateneum"), L. Fritsche, B. Samborski, A. Zelwerowicz, J. Węgrzyn, J. Leszczyński i t. d.

Reż. M. Waszyński i Mac Fric realizują komedję z Vlastą Burianem, Dymszą i Zulą Pogorzelską. Będzie to komedja, osnuta na tle powieści sowieckiej p. t. „12 krzeseł".

W maju reż. Nowina-Przybylski rozpoczyna zdjęcia do filmu „Przybłęda", w którym role główne kreować mają: Ina Benita, bohaterka filmu „Jego Ekscelencja subjekt", wyświetlanego obecnie z dużem powodzeniem w kinie „Atlantic", oraz Zb. Staniewicz.

Reż. A. Ford ukończył już plenery do filmu „Lulu", w którym ujrzymy Almę Carr, Mara i Staniewicza.

Nowopowstała spółdzielnia pracy „Krąg" przystępuje obecnie do realizacji filmu „Czarne skrzydła" według powieści J. Kadena Bandrowskiego. W głównej roli kobiecej ukaże się Jaga Boryta. Kierownictwo filmu spoczywa w rękach A. Zelwerowicza.

Pozatem wytwórnie „Blok" (pp. Krawicz i Szebego), „Delfilm", „Pol-Ton-Film", „Uranja" (E. Bodo) zapowiadają w niedługim czasie przystąpienie do pracy nad nowemi filmami.

Wreszcie dowiadujemy się, że Jadwiga Smosarska na jesieni przystąpi do nakręcania nowego filmu o nieustalonym jeszcze tytule. Będzie to komedja, w której p. Smosarska śpiewać będzie kilka piosenek. Na czele wytwórni, realizującej ten film stanął F. Fleminger, b. długoletni dyrektor Foxa i Warszawskiej Spółki Kinematograficznej.

CO SŁYCHAĆ ZAGRANICĄ?

RAMON NOVARRO ukończył obecnie zdjęcia do filmu „Przewoźnik na Nilu". Partnerami jego w tym filmie będą: Myrna Loy i Reginald Denny.

ALBERT PREJEAN nakręca aż dwa filmy jednocześnie: „Theodore et C-ie" i „Toto".

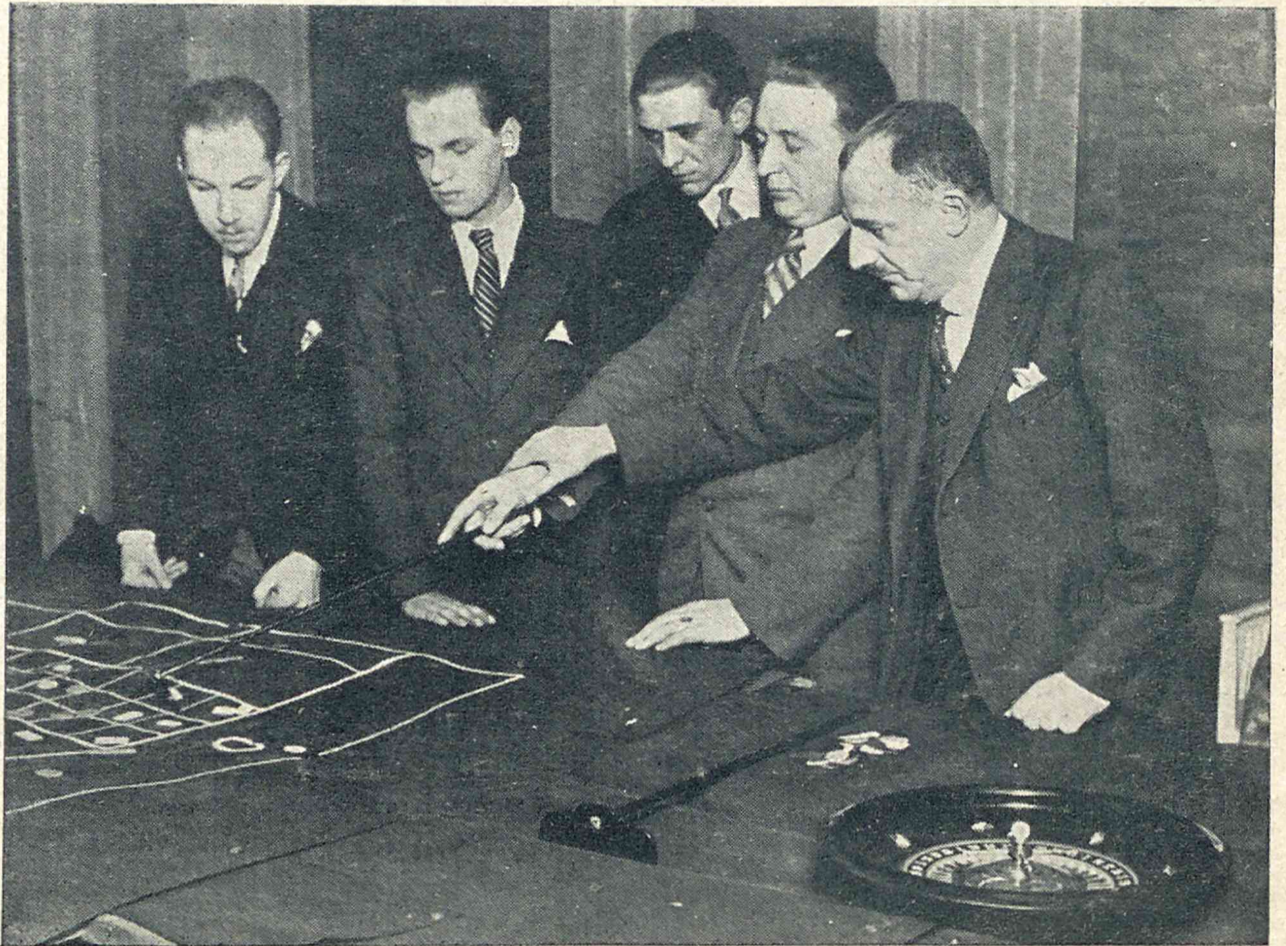
Nowym filmem CLAUDETTE COLBERT będzie „Apartament 9". Partnerować jej będą: Gary Grant i Willima Harrigan.

MIRIAM HOPKINS ujrzymy w filmie „Historja świątyni smoka".

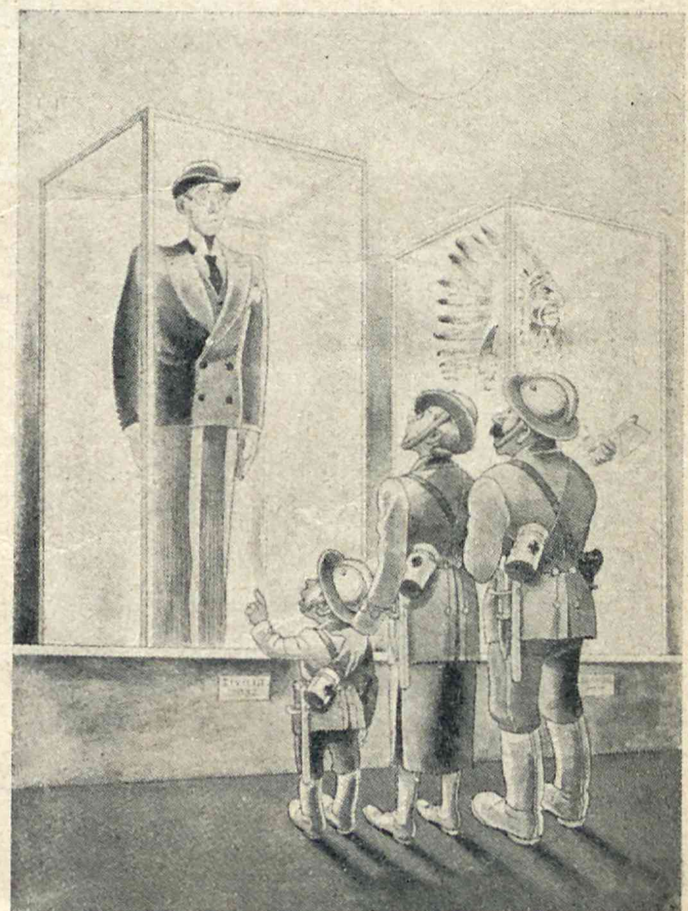
VAN DYKE powrócił już do Hollywood z Alaski, gdzie wśród bezkresnych lodów nakręcał swój nowy obraz „Eskimo".

B. Jezierski

CZEGO SIĘ LUDZISKA UCZĄ?



W Wiedniu powstała zawodowa szkoła krupierów



W MUZEUM HISTORYCZNEM XX W.
— I pomyśleć tylko, że przed 20 laty tak ubrani ludzie chodzili po ulicy!

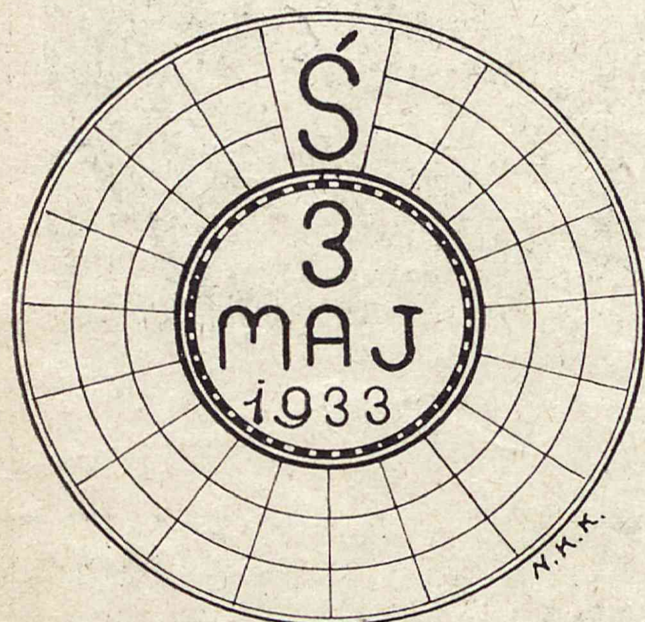
Rozrywki Umysłowe

№ 114 (216) Mozajka majowa

Ułożył N. K. Kozłowski

(Za rozwiązanie 5 punktów)

MOZAIKA MAJOWA.



W kratki figury wpisać dośrodkowo 18 wyrazów; litery koła zewnętrznego i trzeciego, czytane w kierunku zegarowym, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Zarost u mężczyzn 2. „Idźcie" (po łacinie). 3. Zrywam; inaczej (wspak). 4. Połowa teczki. 5. Oddział wojska, pułk, orszak. 6. Pierwiastek metaliczny z grupy cyny. 7. Struś amerykański, nandu. 8. Swędzenie (po rosyjsku). 9. Imię żeńskie (wołacz l. p). 10. Myśl jakaś, rzecz, zdarzenie. 11. „Nakłada celną opłatę" (wspak) inaczej. 12. Jedna z wysp Now. Hebrydów na oceanie Spokojnym. 13. Zginają, wyginają. 14. Generał japoński, znany z działań przeciw Rosji 1904—1906 r. 15. Skrót państwowego instytutu meteorologicznego (wspak). 16. Miasteczko nad rz. Cisą w Jugosławji. 17. Symbol życia (2 p. l. m). 18. Miasto w Trydencie nad Adygą.

№ 115 (217) Wysuwanka

Ułożyła * * *

(Za rozwiązanie 5 punktów).

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
L	N	B	E	Ś	A	C	M	C	B	Ł	Z	W
I	I	O	T	R	Ć	A	I	I	R	O	Y	Y
N	A	T	A	P	A	C	T	E	I	Z	S	Ę

W danej figurze należy powysuwać do góry trzyliterowe kolumny pionowe w ten sposób, aby w kierunku poziomym można było odczytać rozwiązanie.

№ 116 (218) Metamorfozy

(Za rozwiązanie 5 punktów)

K	U	R	Z
N	A	W	A

N	A	R	A
K	O	S	Z

Zmieniając w podanych wyrazach po jednej literze przejść od wyrazu „Kurz" na wyraz „Nawa" i od wyrazu „Nara" na wyraz „Kosz".

Rozwiązanie zadań

№ 107 (209) PISANKA WIELKANOCNA *Znaczenie wyrazów:* 1. Uzda. Okop. 2. Urok Emil. 3. Kwef. Oprę. 4. Ogon. Rzym. 5. Diwa. Djak. 6. Lesz. Nice (wspak). 7. Poła Soła. 8. Lega. Noma. 9. Woal. Znak. 10. Ille. 11. Pela. Dyma. 12. Suja. Czar. 13. Rawi. Zsyp. 14. Msza. Właz. 15. Zysk Brew. 16. Utka. Odal. 17. Lima. Ukce. 18 Oczy. Cjan. 19. Rytm. Oświ. 20 Cela. Miał. 21. Żnin. Stan — „Zdrowego i wesołego Alleluja wszystkim czytelnikom i przyjaciołom naszym zasyła redakcja Świata".

№ 108 (210) ZADANIE KWADRATOWE *Znaczenie wyrazów:* 1. Gaskończyk. 2. Sandomierz. 3. Malefaktor. 4 Palisander. 5. Arytmetyka. 6 Aleksander. 7. Gimnastyka. 8. Komisarjat. 9. Gorzekwiat. 10. Mauzanares. — „Galimatjas".

Trafne rozwiązania nadesłali:

№ 107 (209) (Za rozwiązanie 10 punktów). Jawna Kowalska. Zenon Brenek. Dorota Herbstmanówna. Witold Nowicki. N. K. Kozłowski. Marja Strubel. Lili. Fr. Wiśniewski. Zyg. Pieracki (Wilno). Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów). Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Jan Janczewski (Wilno).

№ 108 (210) (Za rozwiązanie 5 punktów). Zenon Brenek. Dorota Herbstmanówna. Witold Nowicki. N. K. Kozłowski. Marja Strubel. Lili. Fr. Wiśniewski. Zygmunt Pieracki (Wilno). Jawna Kowalska. Kazimierz Lilpop. Józef Modrzejewski (Lublin). Jan Janczewski (Wilno). Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolsław Nowak. Zofja Górska. Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Antonina Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa.

NAGRODY OTRZYMALI:

Janina Rowińska — książkę.

Feliks Siedlecki (Poznań) — książkę.

ODPOWIEDZI KIEROWNIKA DZIAŁU:

Wp. K. Wiśniewskiemu. Rozwiązanie zadań № 105 i 106 otrzymaliśmy z opóźnieniem. Należną ilość puktów zaliczamy.

Co otrzymuje prenumerator „ŚWIATA" za 5 zł. miesięcznie?

1) **Co tydzień zeszyt „Świata" zawierający zawsze ciekawą i aktualną treść oraz obfite ilustracje;**

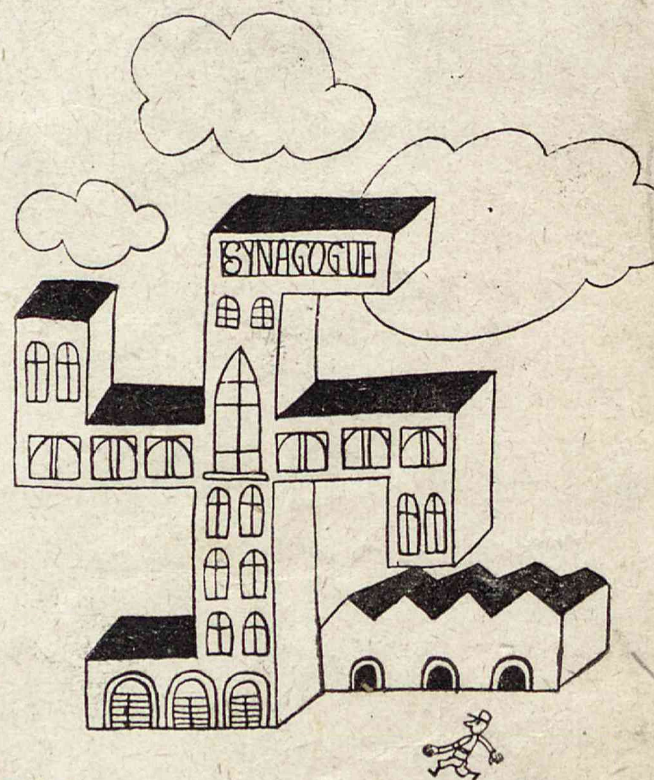
2) **Co tydzień kupon zniżkowy (50%) do b. teatrów miejskich w Warszawie;**

3) **Raz na miesiąc duży tom interesującej powieści.**

Prenumerata miesięczna z odnoszeniem do domu: zł. 5.50, na prowincji zł. 6.—.

Cena pojedyńczego numeru wynosi w całej Polsce zł. 1.—.

WSPÓŁCZESNA ARCHITEKTURA NIEMIECKA



Nowa synagoga w Berlinie (Le Rire)

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI **1 zł.**

Redaktor *St Krzywoszewski* **Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o** **Druk. Galewski i Dau, Warszawa.**



P